

Hanna Krall
To ty jesteś Daniel

Wydawnictwo a5 Kraków 2001

Lipiec 2000. Nad Narwią

.Nietrzeźwi mężczyźni wysiadają na rynku w cieniu cisów. Między ławkami rosną krzewy ozdobne powściągliwej urody. Krzewy i cisy posadzili tutejsi bezrobotni.

Wąskie uliczki opadają ku rzece. Osowiałe łopiany nadrzecznych łąk i mchy zrudziałe od słońca doceniane są tylko przez turystów.

Kobieta i jej wnuk robią zakupy na obiad. Sprzedawczyni kroi kotlety, powoli, akuratnie.

Rozbije pani? pyta. I nie będą pryskać? Jak ja rozbijam, to mięso pryska na wszystkie ściany. A jak wątróbkę rozbijam, to na firankach pełno.

Ścierkę trzeba podłożyć, wtrąca ktoś (w sklepie czeka kilka osób).

Inny dodaje, że ta ścierka powinna być grubo zawinięta.

A tłuczek powinien być drewniany.

Nie, dlaczego, żelazny też może być.

E, nie, drewno to zawsze drewno.

Kobieta i jej wnuk wracają na rynek.

Nietrzeźwi mężczyźni uśmiechają się do nich jak do starych znajomych.

Chłopiec, który przyjechał na wakacje z Kanady, odwzajemnia uśmiech.

Kobieta mówi, że w kanadyjskich supermarketach pewnie nie rozmawia się o mięsie na firankach.

Na ścianach, poprawia wnuk. Mięso jest na ścianach, na firankach wątróbka. Nie, nie rozmawia się. Po czym dodaje: w naszych marketach w ogóle się nie rozmawia.

Ogląda się za pijaczkami na ławkach. Za ich mętym, szczerbatym uśmiechem.

Mówi: jak skończę szkołę, przyjadę do Polski i zamieszkać w waszym miasteczku.

Maj 2000. Zakopane

Pytam Aktora (przez telefon) kiedy urodziła się Christiane, jego matka.

Mówi, że w marcu, w czterdziestym trzecim.

Proszę, by odjął dziewięć miesięcy.

Aktor liczy w myślach. Milczymy.

Wychodzi lipiec.

I jeszcze wychodzi nam, że obie miały wtedy po dwadzieścia dziewięć lat.

Obie: ta, która poszła do gazu ze swoim mężczyzną i ta, która poczęła Christiane na polu rzepaku.

Wtedy: w lipcu, w czterdziestym drugim.

0 Boże, mówi Aktor.

Milczymy.

I co z tego? reflektuje się. To przecież nic nie znaczy.

W lipcu, w czterdziestym drugim, we wsi pojawił się żołnierz.

Była to piękna wieś, na wzgórzach, nad stawem, którego brzegi porastały trzciny, tatarak i zielony mech, a żołnierz był znikąd.

Żołnierze zawsze są znikąd, kiedy zjawiają się w pojedynkę.

Opowiadano, że pracował przy samochodach.

Nie ma w tym nic dziwnego. Żołnierze Wehrmachtu - bo była to niemiecka wieś i żołnierz był niemiecki - pracowali przy samochodach, albo na budowie, albo w kuchniach polowych. W najgorszym razie kopali rowy strzeleckie, rzadko się jednak słyszy, by do kogoś strzelali. *Nein, nein, sie haben nie geschossen.*

Lipiec był upalny tamtego roku.

Jeszcze w czerwcu niebo nie wiedziało dokładnie: załsnąć urodą czy pogrążyć świat w szpetocie i smutku.

W lipcu czterdziestego drugiego niebo postanowiło: uroda świata pozostanie nietknięta.

W słoneczny lipcowy dzień żołnierz i Martha kochali się na rzepakowym polu. Martha miała gruby warkocz, duże piersi i wąską talię.

Leżeli na ciepłej ziemi, osłonięci wysokimi, brunatnymi łodygami.

Nad nimi pękały i otwierały się dojrzałe strąki.

Na plecy żołnierza i na twarz Marthy sypały się ze straków czarne ziarenka.

Dziewięć miesięcy później urodziła się Christiane.

Żołnierz poszedł gdzieś i już nie wrócił.

Christiane urodziła syna, który został aktorem.

W czterdziestym drugim roku Felicja była w getcie warszawskim. Jej mąż znajdował się w dalekim, bezpiecznym świecie. Z Felicją był mężczyzna, którego kochała. Byli także jej matka i syn. Mężczyzna miał na imię Albert.

Uważano ją za rozpieszczoną, bezwolną jedynaczkę. Szybko męczyła się. Zwykła leżeć na kanapie z książką w ręku. Lubiła zmieniać kolor włosów. Lubiła Paryż i nieźle grała na fortepianie.

Albert był wysoki, piękny i bardzo semicki. Tacy mężczyźni nie mieli po aryjskiej stronie żadnych szans.

Kiedy matka powiedziała: wyjdziemy we troje, ty, ja i chłopiec, Felicja nie zdziwiła się.

I matka się nie zdziwiła, kiedy jej bezwolna jedynaczka powiedziała: wyjdziecie we dwoje, ja zostanę z Albertem. W getcie nikt niczemu się nie dziwił. Uczucia luksusowe zostały za murem.

W lipcu czterdziestego drugiego Felicja i Albert zginęli w Treblince.

Syn Felicji przeżył wojnę i został wybitnym pianistą.

Pisywał do nieżyjącej matki obelżywe listy, pełne miłości, zazdrości i tęsknoty.

Wolałaś Alberta, prawda? Wolałaś umrzeć z nim niż żyć ze mną. Głupia sentymentalna cipo. Czy udał się wam miodowy miesiąc? Ładny obrazek-musiał to być kiedyście umierali trzymając się w ramionach... i tak dalej.

Umarł na raka.

Na krótko przed śmiercią zapisał swoją czaszkę Teatrowi Szekspirowskiemu w Stratfordzie. Zagrali z tą czaszką *Hamleta*, po czym umieścili ją w magazynie rekwizytów.

Na pisałam o tym długie opowiadanie. Nazwa-
-am pianistę Hamletem po Treblince.

Wieś, w której są wzgórza, staw porośnięty tatarakiem i pola rzepaku, od dawna znajduje się w Polsce.

Christiane rozmawia ze swoją matką po niemiecku.

Syn Christiane pokochał niemiecką kulturę.

Kochał Goethego i Kleista, a nade wszystko kochał niemiecki teatr. Kiedy był jeszcze w szkole aktorskiej, dowiedział się o Peterze Steinie i marzył, by grać w jego niezwykłych przedstawieniach. Dowiedział się o Josefie Kainzu i marzył, by zagrać Hamleta. Napisał o Kainzu pracę magisterską: Ludwik Bawarski czyta mu na głos sztukę Schillera, a znudzony artysta, ku rozpaczy zakochanego monarchy, zapada w drzemkę.

Ktoś powiedział Aktorowi, że przypomina Kainza. Ma podobnie połyskliwe, przezroczyste oczy i równie dźwięczny głos. Obejrzał w Wiedniu jego pomnik - Hamleta z czaszką w smutnych, bezbronnych rękach. Nie usłyszał głosu, nie dostrzegł podobieństwa, mimo to postanowił zostać Niemcem.

Zgromadził niezbite dowody niemieckości.

Znalazł wypisy ze starych ksiąg metrykalnych, przedwojenne książeczki oszczędnościowe ze sporymi sumami i nawet ubezpieczenie od ognia gospodarstwa babki Marthy.

Wyruszył do Niemiec.

Matce powiedział, że jedzie odzyskać rodzinne oszczędności.

W istocie chciał odzyskać Fausta i Steina.

Niemcy zachwyciły go. Były bezszelestne jak ekspresowe pociągi i higieniczne jak cytrynowy zapach w publicznych toaletach.

Znalazł się w obozie dla przesiedleńców.

Po dwóch miesiącach miał otrzymać *ausweis*.

Po dwóch tygodniach wrócił do Polski.

Może zrozumiał, że razem z Faustem i Steinem otrzyma Treblinkę w posagu?

Może dostał dobrą rolę?

Wrócił do Polski.

Zagrał Hamleta.

Mówił: *Pewnie król znowu zwabi cię do łóżka, nazwie cię myszkę, uszczyplnie w policzek, oślini cię obleśnym pocałunkiem...*

Równie dobrze mógłby mówić: *Głupia sentymentalna cipo, czy udał wam się miodowy miesiąc?*

Zagrał wiele ról, a kimkolwiek stawał się - Harfiarzem Dawidem, Fryderykiem vom Strahl, Baudelaire'em czy księciem Danii, była w nim przestrzeń i uroda lipcowych pól rzepakowych. A także tęsknota i niespełnienie babki Marthy, czekającej na powrót żołnierza.

Aktor chciałby wybrać się na wieś, do babki Marthy.

Jest kłopot: babka nie nauczyła się polskiego. Aktor nie zna niemieckiego, od kiedy przestał być Niemcem.

Tłumaczem będzie wuj Aktora. Przybrany wuj, przybrany brat Christiane. Znaleziony w gospodarstwie pod stodołą. Przybłąkane dziecko z dziwnie czarnymi oczami, wychowane przez Marthę.

Aktor chciałby spytać...

Er will dich fragen... zacznie przybrany wuj i szepnie po polsku: o co ją chcesz zapytać?

O dziadka, o żołnierza, powie Aktor.

Babcia nie będzie o nim mówić, powie surowo wuj.

To prawda. Martha nie rozmawia o żołnierzu nigdy i z nikim.

Chcę tylko spytać skąd wie, że był przy samo-^{*}chodach, a nie na przykład...

Ona ma osiemdziesiąt siedem lat, przerwie wuj. Niczego się już nie dowiesz.

Was will er? zniecierpliwi się babka.

Twój wnuk pyta cię, jak się czujesz, uśmiechnie się do Marthy jej syn. Przybłąkane dziecko. Z dziwnie czarnymi oczami - syn znikąd.

O Boże, mów.

Reflektuje się: nic to nie znaczy. Kobiety, daty, czaszka, Hamlet... Przypadek. Zbiegi okoliczności.

Albo... dodaje ostrożnie. Trzeba te szczegóły zapamiętać. Może kiedyś dowiemy się o nich czegoś więcej.

Proszę pana. Kiedyś o wszystkim dowiemy się czegoś więcej.

Maj 2000. Herzliya koło Tel Awiwu

W ogrodach ambasadora trwa przyjęcie.

Ambasador z kieliszkiem w ręku sławi konstytucję sprzed dwustu lat.

Ciemność gęstnieje między drzewami.

Wesołe, spocone dziewczyny chciałyby potać się.

Na gałęziach cedrów i migdałowców przycupnęły nieliczne duchy. Przypuszczają, zupełnie słusznie, że polska konstytucja nikogo tutaj nie obchodzi. Poza nimi, cadykami z Horodenki i z Korca. To oni modlili się za Polskę. Najpierw Nachman z Horodenki się modlił, ale niestety udał się, do Ziemi Świętej. Ledwie wyjechał, nastąpił pierwszy rozbiór. Po nim modlił się Pinchas z Korca. Umarł, niestety, a ledwie umarł, nastąpiły rozbiory kolejne.

Obaj są potomkami i przodkami sławnych mędrców.

Dziad Pinchasa ogłosił w Krakowie dwieście pięćdziesiąt dwie interpretacje modlitwy Mojżesza. Sama modlitwa liczyła dwa zdania.

Wnukiem Nachmana był cadyk z Bracławia, jego imiennik. (*Boli mnie serce, rabi, mam kłopoty* - będzie mu się skarżył polski poeta po stu pięćdziesięciu latach).

Nachman miał sen. Śnił mu się jego własny dom, bezludny i pusty. Poszedł do synagogi. Byli w niej ludzie, ale odwracali się od Nachmana. Jak mogłeś?

szeptali oburzeni. Czy to możliwe, że popełniłeś tak okropny grzech? Nachman udał się w podróż, ale wszyscy, w każdym kraju, patrzyli ze zgrozą: jak mogłeś?! Zamieszkał w lesie. Stary człowiek z pobliskiej wsi przynosił mu jedzenie ze słowami: jak mogłeś?

Do końca snu nie dowiedział się jaki popełnił grzech, ale po przebudzeniu poprosił uczniów, by zniszczyli jego ostatni rękopis. Spalili nie czytając.

Trwa przyjęcie w ogrodach polskiego ambasadora.

Uwagę gości zwraca urodziwy mężczyzna. Sma-
gły, siwy, z powagą w miodowych, głębokich
oczach. Starzejący się król Dawid mógł tak wyglądać.

Podchodzi do mnie. Mówi, że się spotkaliśmy.
W Polsce, w Łodzi. Był kwiecień. Pani była w domu
Doktora, my przed domem. Pilnowała go tajna po-
licja.

A tak, dawne czasy. Tajniacy przed wejściem.
Izraelscy goście potulnie wracający do samochodu.

Nie chcieliśmy zatargów z waszą policją, mówi
mężczyzna. (Nie jest królem Dawidem, jest profeso-
rem nowożytnej historii). Zawróciliśmy, a Doktor...

Czy pani wie, co zrobił?

Wybiegł za nami i zaczął krzyczeć.

Wie pani, co on krzyczał?

Przeżyliście, bo jesteście tchórzami!

Przeżyliście, bo jesteście tchórzami!

Przeżyliście, bo jesteście...

No więc to chciałem opowiedzieć. I że się urodzi-
łem po wojnie, tutaj się urodziłem, a on krzyczał:
przeżyliście, bo jesteście...

Doktor nakrył do stołu. Na uroczyście białym obrusie ustawił talerze. Ktoś przyjedzie, powtarzał. Niemożliwe, by wszyscy się bali.

Rozległy się werble. Głos z radia poinformował o rocznicy powstania w getcie i że w stolicy złożono wieńce.

Ten, który z grupą przyjaciół postanowił o powstaniu, powiedział coś o słońcu. Wtedy też świeciło, choć było chłodniej.

Goście nie nadjeżdżali. Doktor wyszedł na spacer. Za nim ruszyli tajniacy. Pilnowali, żeby się nie wymknął do getta. Nie był potrzebny tam, gdzie były werble i wieńce. Starał się nie widzieć ich spojrzeń, rozbawionych i pogardliwych.

W drodze powrotnej myślał o tym jak się zabija ręką. Trzeba uderzyć w *globus caroticus*. W splot komórek nerwowych na szyi, za chrząstką tarczową, lak, ma słabe ręce, ale wie, że z lewej strony jest nerw depresyjny...

Usiadł do stołu.

Z żytniówką i rosołem zrobiło się raźniej.

Dookoła stały wolne krzesła i puste talerze.

Swarliwym głosem zaczął załatwiać jakieś sprawy z Panem Bogiem. Wyrażał się o Nim surowo, jak zawsze.

Rozległ się silnik, klakson i głosy tajniaków.

Wybiegł przed dom.

Przeżyliście, bo jesteście tchórzami, krzyczał za gośćmi, którzy pospiesznie wracali do samochodu.

Były to najbardziej pogardliwe słowa, jakie mu przyszły na myśl).

Nachman z Horodenki pyta Pinchasa z Korca, czy profesor nowożytnej historii przypomina mu jeszcze króla Dawida. Na co Pinchas z Korca mówi, że człowieka poucza jego własna dusza. Nie ma człowieka, którego dusza nie pouczałaby bezustannie.

Dlaczego więc człowiek jej nie słucha? zamyśla się Nachman z Horodenki.

Dlatego, że dusza uczy bezustannie, ale wszystko mówi jeden raz i nie powtarza.

Marzec 2000. Frankfurt nad Menem

r

Ubrała się na biało, upięła białe włosy, uróżowała policzki. Nałożyła naszyjnik z pereł.

Zobaczyła coś za moimi plecami. Uśmiecha się. Odwracam głowę i widzę białą ścianę.

Przychodzę do niej codziennie. Siadam w tym samym fotelu, ona naprzeciw mnie.

Niemcy wydadzą książkę z jej obrazkami, a ja napiszę o niej krótkie opowiadanie.

Kładę przed sobą papier i długopis.

Miała być projektantką mody. Pobierała lekcje rysunków u znanego malarza. Uczył ją zasad proporcji i perspektywy, poza tym radził, by pilnie obserwowała świat.

Były to lata czterdzieste dwudziestego wieku.

Było to w getcie, w Warszawie.

Idąc na lekcje rysunków mijała żebrzące matki z niemowlętami, zwłoki porzucone na chodnikach i dzieci wyrrywające przechodniom chleb.

Pamiętając o radzie malarza obserwowała wszystko bardzo sumiennie. Nawet czekając na selekcję nie przestała obserwować.

Krok za krokiem zbliżali się do esesmana. Szła ze swoim mężem, Marcelem, Trzymali się za ręce. Esesman trzymał skórzany pejcz, Był barczystym olbrzymem z niedużą głową. Zauważyła, że w porównaniu z jego potężną sylwetką pejcz wydawał się cienki i krótki. Pejcz pokazywał lewą albo prawą

stronę. Ludzi z lewej strony ładowano na ciężarówkę, ludzie z prawej strony mogli odejść. Miała zdrowy wygląd: usta i policzki pomalowane sokiem buraczanym, więc pokazano im prawą stronę. Buraki były na kartki, na kupon koloru żółtego. Pięćdziesiąt deka kapusty i dziesięć deka buraków na miesiąc.

Wróciła do domu.

Sięgnęła po farby i szkolny pędzelek.

Namalowała esesmana, pejcz i czekających ludzi.

Malowała codziennie, ulice, głodne dzieci, łapankę, zwłoki, i tak dalej.

Były to akwarele.

Przeżyły wojnę po aryjskiej stronie, niedawno umieszczono je w muzeum.

Przez sześćdziesiąt lat nie wzięła do ręki farb ani pędzelka.

Zrezygnowała z projektowania mody.

Była pod opieką psychiatrów.

Przychodzę codziennie.

Siadam w fotelu.

Ojciec powiesił się w oknie na pasku, a ona próbowała go odciąć.

Matkę wywieziono do Treblinki.

Dziadek miał dobrą śmierć, bo córki zdobyły truciznę.

Przez całe życie był przy niej Marcel, jej mąż, i opowiadał książki albo czytał na głos poezje. Marcel wspaniale opowiada.

Wzięli ślub kiedy zaczęły się transporty do Treblinki.

Sięga do torebki. Wyjmuje szminkę i zaczyna malować usta. Nie patrzy w lusterko. Nie sprawdza

rezultatu. Jej ręka przesuwa się kolistym ruchem, zostawiając na twarzy czerwoną plamę.

Uspokojona, że ma zdrowy wygląd, chowa szminkę i uśmiecha się do mnie pogodnie: to co by ci jeszcze opowiedzieć?

Listopad 1999. Toruń

Dziadek - Miednoje, matka - Kazachstan.

Dobre dzieciństwo, trochę nudne. Polonistyka.
Herbert, podziemny Barańczak...

Powierzono jej kolportaż bibuły.

Ojcem córki był kolega kolporter.

Sierpień.

Internowanie. Powrót, rewizja, ojcem syna był kolega drukarz.

W pośredniaku dali jej sprzątanie szkół. W porządku.

Wybory. Koledzy z konspiracji zostali posłami i ministrami. Proponowali posady. Odmówiła.

Zarejestrowała jednoosobową firmę. Kupiła zestaw szczotek, ścierek i wiader.

Firma w porządku.

Poniedziałek. Sprzątanie pizzerii w wersji skróconej, sam dół, i biura geodetów, podłogi sidoluksem. Wróciła wcześniej do domu, bo przygarnięta suka miała się oszczeniść.

Wtorek. Pizzeria, wersja pełna, góra i dół, spółdzielnia lekarska wodą z brio. Nakarmiła bezdomne koty. Suka zaczęła jęczeć.

Wtorek wieczorem.

Szukam miasta gdzie czas zaklęto

obrócono w błękitne czaszę

a pod nią nieskończenie trwa niedzielny ranek...

Środa. Spółdzielnia, przetarcie biurek. Uwaga. Drewno wyciera się wzdłuż słoików, nigdy wszerek. To ważne, gdyby wszerek, zostałyby smugi. Osiem szczeniąt. Wzięła je do mieszkania razem z suką, bo noce już chłodne. Mieszkaniem jest pomieszczenie gospodarcze na peryferiach miasta.

Środa wieczorem.

... trwa niedzielny ranek

nikomu nie brakuje ciepła ani chleba

wahadło nie porusza wskazówek po kole...

Czwartek. Dom prywatny. Właściciel, starszy pan, powiedział: łatwe życie? Czy na pewno o to nam chodzi? Dało jej to do myślenia na resztę dnia. Lubi prywatne mieszkania, bo ludzie opowiadają. Łatwo opowiada się komuś, kto myje okno, więc stoi do nas plecami.

Czwartek wieczorem.

... wskazówek po kole

Nikt nie boi się jutra, bo nie będzie nocy...

Piątek. Kantor, pizzeria, nadal myślała o łatwym życiu i czy na pewno o nie chodzi. Wróciła wcześniej, bo znajomemu, panu Tadziewi, spaliło się miejsce pracy. Na szczęście znalazł nowe, klejenie kartonów. Będzie wstawał o czwartej rano, a od niej ma bliżej do autobusu. Dłuższą chwilę rozglądała się po mieszkaniu gdzie by ulokować pana Tadzia.

Sobota. Lubi soboty, bo sprząta stuletnią kamienicę. Mieszkała tam pani Natalia, którą drażniło, że pracuje w niedzielę a córka ma na głowie irokeza. Irokez był pomarańczowy i odróżniał córkę od skinnów. Skini krzyczeli *Sieg heil*, a córka - *Polska dla każdego*. Po śmierci pani Natalii myła okno w niedzielę, zachwiała się i omal nie spadła. Oho, Natalia

jest niekontenta - domyśliła się - i odtąd sprząta w dni powszednie. Uwaga. Nie wolno przyskać wprost na szybę, tylko na mokrą szmatkę, z wiskozą najlepiej.

Sobota wieczorem.

*Tobie ku olśnieniu inne dano cuda
hardą urodę chwastów i roztropność szczura
i gorzki musujący ciemności aromat.*

Pyta czy wstaje w nocy do ubikacji.

Jeśli tak, muszę się zmieścić między łóżkiem, na którym śpią ona i syn, a fotelem, na którym śpi pan Tadzio. Miejmy nadzieję, że pan Tadzio nie będzie miał ataku epilepsji, ale od kiedy jest u niej, nie miewa ataków. W kuchni mam się zmieścić między zlewem a pudłem ze szczeniętami. W czymś, co nazywa łazienką - między bezdomnymi kotami i morską klozetową.

Wszystko w porządku.

Przeciskam się między kotami, szczeniętami, suką, panem Tadzkiem, dzieckiem i nią, nie budząc nikogo.

Niedziela. Dostałam wszystko o co prosił Kordian na Mont Blanc: wolność i wielką ideę. Tak mówi mi przy śniadaniu.

Nie śmiem dorzucić, że dostała więcej niż prosił Kordian, bo jeszcze ścierki, komplet szczotek i wiadro.

Październik 1999...

Dzwoni pielęgniarka z Nowego Jorku i pyta czy może odłączyć.

Z dalszej rozmowy wynika, że chodzi o aparaturę podtrzymującą życie pacjentki.

Mężczyzna, który odebrał telefon nie dziwi się, że to jego pytają.

Nie waha się.

Mówi: odłączyć.

Dodaje: załatwiłem jej życie, to teraz mogę załatwić śmierć.

Nie rozumiem, mówi pielęgniarka w Nowym Jorku.

Nie musi pani, mówi mężczyzna i odkłada słuchawkę.

Ustawia na półce zdjęcie młodej kobiety.

Uśmiecha się do jej zmrużonych oczu. Do warkoczy, których na zdjęciu nie widać, bo upięte są z tyłu głowy. Do pełnej szyi, schowanej pod nieforemnym wojennym płaszczem.

Mówi: wszystko co o życiu wiem, to od niej.

Życia można się nauczyć, jak innych rzeczy. Jak medycyny na przykład.

Kwiecień 1999. Warszawa

Przypuszczam, że nadszedł droga.

Dwie były drogi, z Bukowiny i z Gronia. Nie był zdyszany, więc szedł od Gronia, po płaskim.

Nie widzieliśmy jak nadchodził, ani ja, ani Profesor Filozofii. Profesor był zresztą myślami gdzie indziej, przy innym mędrцу. Jeśli nam się nie podoba świat, musimy siebie zmienić, świat bowiem jest w porządku - tłumaczył za mędrcom - i wtedy właśnie góral wyłonił się zza drzew.

Był stary. Miał orli nos, nosił haftowane spodnie, guńkę na ramionach, parzenicę na piersiach i kapelusz z wianuszkami muszelek. Wyglądał, szczerze mówiąc, dość kiczowato.

Nie rozglądał się.

Nie spieszył się.

Nikogo nie szukał.

Zmierzał do Profesora.

Bardzo pana przepraszam, ukłonił się. Chciałbym o coś spytać.

Słucham, równie grzecznie powiedział Profesor i zachęcająco się uśmiechnął.

Czy jest Bóg?

Profesorowi nie chciało się rozmawiać o Bogu. Co do mnie, zaczął, nie wiem dokładnie, ale pani ma w tej sprawie najświeższe wiadomości.

Góral nie był ciekaw moich wiadomości. Nie zaszczycił mnie przelotnym choćby spojrzeniem. Nie spuszczał wzroku z Profesora.

Aha, powiedział ze smutkiem. Więc pan uważa, że Boga nie ma. Przepraszam pana.

Uchylił kapelusza. Odwrócił się...

Kto to? spytał Profesor.

Nie wiem. Wygląda na to, że Bóg.

Przebrany za górala?

A za kogo miał się przebrać w Bukowinie Tatrzańskiej?

Bez żadnych znaków by nadszedł? Profesor dziwił się coraz bardziej. Ani nagłe światło, ani ciemność. Mógłby choć pies zawyc, ptak mógłby krążyć nad nami... żartował, patrząc za odchodzącym.

Las był rzadki, widzieliśmy go między drzewami, a potem z daleka, na łące.

Było tak? pyta nasza przyjaciółka, u której jemy wielkanocne śniadanie trzydzieści lat po Bukowinie Tatrzańskiej. Leży na kanapie, wychudzona, zażenowana chorobą i słabością. Tylko oczy ma dawne, czarne, błyszczące zaciekawieniem.

Tak, Leszku, było?

Z niedowierzaniem pyta, chociaż opowiadałam jej tyle razy.

Profesor przyświadcza.

I kto to był?

Ta pani ma świeże wiadomości w tej sprawie...

Uśmiechamy się, nalewamy, jak to w gościach.

Miesiąc później nasza przyjaciółka nauczy swojego męża gotować rosół.

Już mi nie umrzesz z głodu, powie, już mogę chorować, i pójdzie do szpitala.

Zadzwonią z gazety i poproszą o krótką wypowiedź o niej. Jak zawsze, kiedy umiera ktoś ważny, albo sławny, albo kochany przez wszystkich.

Krótką wypowiedź zacznę: „Nie ma jej od dwudziestu godzin. Już wszystko wie: co tutaj, co tam i czy na pewno jest Bóg. Ma to, co lubiła najbardziej, najświeższe wiadomości w tej sprawie...”

Marzec 1999. Norwood

Mieszkanka Norwood koło Bostonu rozgarnia kubki i słomki do puszczenia baniek mydlanych.

Siada do komputera.

Stwierdza, że napisała do mnie sto dziesięć listów.

„Jest wtorek i to jest mój sto jedenasty list do pani. Ja za dużo, widzi pani, nie myślę. Wtedy myślę, gdy chcę coś napisać. Albo odwrotnie. Piszę, gdy chcę wiedzieć co ja właściwie myślę. Pani uważa mnie za nieszczęśliwą? Proszę pani! Mnie przenika dreszcz szczęścia, kiedy mój syn rozumie najprostsze słowo”.

Marzec 1999. Norwood

Mieszkanka Norwood pisze mi o sadzie koło Tarnowskich Gór. Matka zaczyna robić wiosenne porządki.

Mieszkance Norwood przypomina się słodka soczystość tamtych brzoskwiń.

W amerykańskich owocach błąka się czasami ślad smaku. Po to chyba, by bezlitośnie przypomnieć, czym powinna być prawdziwa brzoskwinia.

Styczeń 1999. Norwood

Mieszkanka Norwood pisze mi o bańkach mydlanych.

Jej trzyletni syn nie wiedział gdzie ma oczy, gdzie nos i nie powtarzał dźwięków. Jedno wiedział: gdzie znajdują się najbliższe mydliny. Kiedy dostawał słomkę i kubek, kiedy w powietrze ulatywała pierwsza bańka, był szczęśliwy. Lekarz powiedział: wiem, co będzie nagrodą. Mając władzę nad mydlinami, mamy władzę nad dzieckiem. Oprzemy leczenie na bańkach mydlanych.

Wrzesień 1998. Norwood

Pisze o burzy. To nadciąga, to odsuwa się.

Wiewiórki się denerwują, kilka przejechanych leżało na drodze.

Rano zasłabła. Przewróciła się i zaczęła płakać. Syn przytulił się, chciał coś powiedzieć, ale nie umiał.

Co jeszcze, co jeszcze... O czymś chciała napisać, no nic, może innym razem.

A tak, jeszcze kwitną rododendrony.

A co z jabłoniami w sadzie?

Okazało się, że ich nie pamięta, ani z owocami, ani jak kwitną.

Proszę pani, pisze, ja nie pamiętam naszych jabłoni, uwierzy pani?

Sierpień 1998. Norwood

Jej syn odkrył słońce.

Wynurzył się z basenu, krzyknął *tan* i wyciągnął do nieba rękę. Poprawiła go: *sun*. Powtórzył: *sun*. Zanurkował, znów się wynurzył i zawołał: *sun*. I patrzył na nią, upewniając się, że i ona widzi.

Proszę pani! Mój syn odkrył słońce!

Maj 1998. Norwood

Mieszkance Norwood jest przykro: pytam o syna, nigdy o Amandę.

Co u Amandy?

Co zawsze. Jest ostatnia do szkolnego autobusu. Od pierwszej klasy, od czterech lat.

Mieszkanka Norwood przygląda się co rano córce i jej kolegom. Koledzy przepychają się, żeby wcześniej wejść i zająć dobre miejsca. Amanda stoi spokojnie, czeka i wsiada ostatnia.

Mieszkanka Norwood martwi się tym autobusem. Nie dlatego, że pamięta polski tramwaj numer dwadzieścia jeden i jak ważne było, żeby się dostać i dojechać do domu. Martwi się, bo walka o miejsce w szkolnym autobusie to pierwszy wyścig o miejsce w życiu. Amerykańskie dzieci już walczą, a Amanda czeka.

Amanda gra na fortepianie, ładnie maluje, pięknie tańczy i czyta dużo książek. Nigdy się nie zgłosiła do *talent-show*, żeby się pochwalić.

Świat to współzawodnictwo. Co będzie w tym świecie z Amandą?

Kwiecień 1998. Norwood

Umarła Joan, amerykańska przyjaciółka. Też miała dziecko z autyzmem. Uprawiała jogging. Przestrzegała diety. Wycinała z gazet kupony promocyjne na żywność i porządnie układała w portfelu. Oszczędzała dzięki nim sporo pieniędzy. Umarła nagle, na udar.

Zadzwoiła inna przyjaciółka, Jill. Powiedziała: zakochałam się. W kim? W kobiecie, chciałabym się z nią ożenić. Nie zarabia dużo, bije w bęben w świątyni buddyjskiej.

Luty 1998. Norwood

Zaprosiła Kathy na kurczaka.

Pani Kobusowa z ulicy Morcinka, z Dąbrowy Górniczej, dokarmiła ją zupami jarzynowymi. Zawsze, gdy zaprasza Kathy, myśli o pani Kobusowej. Prawie nie znała jej, tyle że te zupy.

Co poza tym?

Mam się nie martwić o kota Luisa.

Zapewnia mnie, że będzie mu bardzo dobrze.

Grudzień 1997. Norwood

„Mój syn przyjaźnił się z Luisem, kotem sąsiadów. Codziennie rano, przed przyjazdem autobusu, który wiezie go do szkoły specjalnej, czekał na kota. Nawet baniek mydlanych nie chciał puszczać! Mój syn nie umie śpiewać ani mówić, więc zabawiał Luisa tańcem i podskokami. Chcę podziękować rodzinie Ramseyów, że pozwalała bawić się Luisowi z naszym synem. Nie potrafię doprawdy powiedzieć, ile znaczyła dla nas ta przyjaźń”.

(Z listu mieszkanki Norwood do redakcji „Daily Transcrit”, lokalnej gazety Doliny Naponset).

Listopad 1997. Norwood

W rezerwacie ptaków w Stony Brook syn zerwał dmuchawiec. Zwyczajnie, jak inne dzieci. Zerwał, dmuchał i obserwował unoszący się puch. Drugiego dmuchawca nie umiał zerwać.

Po drodze wstąpili na farmę z winami. Spytała o wino z porzeczek. Nie zrozumieli.

Ciocia Ola robiła wino porzeczkowe, a ojciec z róży.

Ciocia Ola była siostrą ojca. Dbała o urodę, włosy czerniła nalewką z orzechów włoskich. Plotkowano, że była księżą córką. Ksiądz może mieć dzieci, ale wnuków nie może mieć, dlatego ciocia była bezdzietna.

Dziką różę zbierali na drodze do Wojkowic. Powinna być lekko przemrożona. Owoce są śliskie, mocno trzymają się gałęzi, zrywając można się podrapać do krwi.

Przez cały wieczór myślała o przemarzniętych owocach dzikiej róży, pokłutych rękach i zimnym wietrze na drodze do Wojkowic.

Listopad 1997. Norwood

Luis się wyprowadza!

Zarząd nie odnowił z Ramseyami umowy. Płaca dziewięćset dolarów za mieszkanie, za które można dostać tysiąc dwieście.

Dlatego Luis był taki zestresowany ostatnio.

Mieszkanka Norwood napisze do gazety list z podziękowaniem dla Ramseyów.

Lipiec 1997. Norwood

W harwardzkim parku rosło drzewo korkowe. Miało ze dwieście lat, jedną gałąź równoległą do ziemi, kuszącą, jak w upale ocieniona ławka. Jakieś dzieci weszły na szczyt i drzewo się złamało. Ludzie płakali z żalu, ale mieszkanka Norwood myśli, że to nie dzieci, tylko pan Stefan, programista z Polski. Ma sześćdziesiąt lat i młodą żonę, Peruwiankę. Pewnie popisywał się przed nią i wdrapał się na szczyt.

Pan Stefan zaprosił ich kiedyś do siebie razem z synem.

Nikt inny ich nie zaprasza. Mieszkają tutaj religijni ludzie, nigdy by się nie rozwiedli i mają dużo książek. Tyle, że do swoich domów, do swoich normalnych dzieci nie wpuszczają dziecka z autyzmem.

Dlatego mieszkanka Norwood wybacza panu Stefanowi złamane drzewo i popisy przed Peruwianką.

Czerwiec 1997. Norwood

Wszyscy troje, mieszkanka Norwood, jej syn i kot Luis poszli na plażę. Morze było zimne, ale kobiety nosiły kostiumy kąpielowe. Mieszkanka Norwood nie mogła nałożyć kostiumu, bo nie ogoliła nóg. Wszystkie Amerykanki golią nogi. Kobiety, które tego nie robią, chronią się w jakiejś sekcji na Florydzie i tłumaczą powrotem do natury. Bez ideologii nie da się usprawiedliwić niczego, nawet nie ogolonych nóg.

Kwiecień 1997. Norwood

Nauka jest dla jej syna wędrówką po gościńcu. Żadnych świateł, żadnych znaków drogowych. Wszędzie zasadzki i nieprzyjazny chaos. Po tysiącach prób oswaja ledwie milimetr gościńca.

Nad doliną rzeki Naponset przeszły deszcze. Zrobiło się duszno. Mimo to pojechała na uniwersytet. Przyjęli za dużo studentów i szukają pracowników naukowych. Chciałaby wrócić do matematyki i weszła do asystenta, by o tym powiedzieć. Asystent siedział za biurkiem i jadł ekologiczne śniadanie. Dostrzegła zaskoczenie w jego oczach, nie spodziewał się grubej i w jej wieku. Od razu wiedziała, że nic z posady, jak zobaczyła te jogurty, te kantalu-py na biurku. I rzeczywiście.

Marzec 1997. Norwood

Żydowscy sąsiedzi mają teraz swoje święto, Purim. Mieszkance Norwood wydaje się, że ma to jakiś związek z biblijną Esterą, ale nie jest pewna.

Opowiada o zdarzeniu sprzed wielu lat:

Była w sanatorium. Dzieci ze śląskiej diecezji szły do pierwszej komunii wcześniej niż dzieci z Zagłębia, więc przysłała mieszkanka Norwood przepytowała z religii koleżankę - Ślązaczkę.

Jakiej narodowości była Matka Boska? spytała, chociaż nie przerabiali tego na religii. Polką. Nie. Niemka? Też nie. Wiesz kim była? Żydówką, tatuś mi powiedział.

Ciszę sanatorium rozdarł krzyk osoby, która otarła się o szatana. Głośno płacząc koleżanka biegła ze skargą do zakonnicy, siostry Gudelii. Przyszłej mieszkance Norwood zaświtało wtedy pierwszy raz, że z Żydami coś jest nie w porządku. Zamierzała zainteresować się nimi, mimo to nie wie czym jest święto Purim. Chyba jednak ma związek z Esterą, królową perską.

Luty 1997. Norwood

Przyszła mieszkanka Norwood była dzieckiem bardzo samotnym. Kulała po heinemedinie, miała surowego ojca i kilka miesięcy w roku spędzała w sanatorium.

Potem była samotną dziewczyną i czytała książki. Levi-Straussa, Husserla, Kanta i różnych innych.

Po co właściwie tak czytała?

Czy wierzyła, że z książek da się zbudować spójny wszechświat?

Próbuje porozmawiać o tym ze swoim mężem.

To co właściwie chcesz, żebym zrobił? pyta mąż.

Styczeń 1997. Norwood

Dawno temu, w Dąbrowie Górniczej, szli za nią dwaj nietrzeźwi mężczyźni i użalali się nad jej nogą. Że krótsza. Że chudsza. Że przez nią wszystko będzie w życiu przegrane. Tak współczuli i tak byli poważni, że położyła się na łóżku i przepłakała noc.

Niedawno rozmawiali o nodze dwaj dżentelmeni w Bostonie. Nosiła czarne rajstopy i jeden zastanawiał się czy krótsza noga jest prawdziwa. E, sztuczna, mówił drugi, tylko protezę źle dobrali. Wprawili ją to w świetny humor.

Wtedy rozpacz, dzisiaj wesołość.

Pyta dlaczego.

Mężczyźni w Dąbrowie byli z jej własnego, więc prawdziwego świata. Mężczyźni w Bostonie byli na zewnątrz niej.

Czy o to chodzi?

Czy może ona jest teraz na zewnątrz wszystkiego?

Grudzień 1996. Norwood

Ma żal do Nadiry, sąsiadki.

Przyjechała z Kalkuty. Urodziła syna. Kiedy dowiedziała się, że jest autystyczny, powiedziała: dlaczego Bóg mnie właśnie tak pokarał?

Każda matka, która dowiaduje się o autyzmie dziecka, płacze, jakby ktoś umarł. To żałoba. Po dziecku upragnionym i utraconym. Czasami trwa całymi latami.

Syn Nadiry rozwija się bardzo dobrze, ale nie może poradzić sobie z matką, która go opłakuje od czterech lat.

Listopad 1996. Norwood

Śnił jej się brat. Po rozstaniu z narzeczoną powiedział: teraz chciałbym cichutko umrzeć. Umarł na nadciśnienie po paru tygodniach.

Miał dwie pary znoszonych spodni, zakład elektryczny i dużo długów.

Zaprzyjaźnił się z komornikiem, który przyszedł zająć jego maszyny.

Nie znosił współczucia. Z irytacją wysłuchał opowieści o staruszce w sklepie. Prosiła o tanią wędlinę, odliczyła pieniądze, miała za mało. Poprosiła o mniejszą porcję, znów odliczyła i miała za mało... Brat zniecierpliwiał się: nie wiesz, co należało zrobić? Schylić się, podnieść z podłogi własne pieniądze, powiedzieć - wypadły pani - i wyjść ze sklepu.

Brat czuł naprawdę. Ona zastanawiała się, co powinna czuć.

Listopad 1996. Norwood

Zadzwoiła matka. Rozwiązywała krzyżówkę i spytała kto napisał *Grę w klasy*. Na osiem liter, dodała i słyszeć było jak postukuje ołówkiem o papier.

Mieszkanca Norwood pamiętała, że Latynos, ale nazwisko wyleciało jej z głowy.

Zaraz sobie przypomnę, powiedziała i spytała, co matka robiła przez cały dzień.

Smażyła konfitury z brzoskwiń. Dużo było brzoskwiń tego roku, rozdała sąsiadom całe kosze.

Spytała, co na kartofliskach, czy już palą nać ziemniaczaną.

Matka powiedziała, że zaczynają palić, że ma otwarte okno i czuje dym z ognisk. To nie wiesz, kto napisał *Grę w klasy*, zniecierpliwiła się.

Wiem, Cortazar, powiedziała kobieta z Norwood.

Odłożyła słuchawkę.

Zaczęła szykować synowi dynię na Halloween. Oczy wyszły małe i ponure, a usta wykrzywione ironicznym grymasem.

Od razu widać, że emigrantka, orzekł mąż.

Synowi dynia się podobała.

Powoli oddalała się smuga dymu nad kartofliskiem i zapach pieczonych ziemniaków zmieszany z konfiturami z brzoskwiń.

Męża wyrzucono z pracy.

Siedzi w domu i przegląda ogłoszenia w „Boston Globe”.

Telefon milczy. Koledzy z firmy nie dzwonią nawet z „co słyszeć”. Dziesięć lat pracowali razem.

Opowiada mężowi o Dąbrowie Górniczej.

O koleżankach, które przybiegły z żubrówką jak wróciła z więzienia. Wszystkie, partyjne, z „Solidarności” i z branżowych.

Uczyła w starszych klasach. W młodszych uczyła przyjaciółka, Krystyna. Mąż Krystyny był milicjantem. W stanie wojennym przyszedł ją aresztować.

Zepsuł się telewizor. Mąż mówi, że zawsze coś się psuje po wizytach kota Luisa.

Kiedy wróciła z więzienia, to ten milicjant, Krystyny' mąż, przez kilka godzin naprawiał jej telewizor, krany i kontakty. Jak to sąsiad.

Co chcesz przez to powiedzieć? pyta mąż.

W dolinie Naponset są piękne, jesienne liście. Nie pamięta takich z Zagłębia ani ze Śląska. Nawet drzew nie pamięta, wycięto je, jak budowali hutę Katowice. Wszystkie ptaki przeniosły się wtedy do Gołonoga, w pobliże szkoły. Rosło tam trochę starych drzew - lipy, morwy, jesiony i wierzby płaczące. Niby nic, ale gdy się jest bezdomnym ptakiem, i to musi wystarczyć. Narobiły strasznego hałasu, ale jesienią poszły sobie gdzieś, czy pofrunęły.

Po wyjeździe z Polski śniła jej się przez parę lat szafa ojca. Miała środkową część oszkloną, z książkami, i dwoje drewnianych drzwi, zamkniętych na klucz. Śniło jej się, że za drewnianymi drzwiami są bardzo ważne rzeczy, których nie umie znaleźć.

Ojciec był ostatnim człowiekiem w rodzinie, który wszystko wiedział, tylko że ona go o nic nie pytała.

Czytała książki. Levi-Straussa, Husserla, Kanta czytała i nie miała czasu na rozmowy z ojcem.

Wrzesień 1996. Norwood

Mieszkanca Norwood czyta w amerykańskiej gazecie o Menachemie Mendlu, cadyku z Lubawicz. Uważał, że Żydzi powinni opuścić Polskę, bo to ziemia na zawsze dla nich stracona.

Słowa cadyka napełniają mieszkankę Norwood zdziwieniem, oburzeniem i smutkiem.

Polska? Ziemia stracona?

I Dąbrowa Górnicza? I Reden? I Wojkowice?

Nachodzi ją pewna myśl: czy to nie ona powinna opuścić wreszcie Dąbrowę, Reden, Wojkowice, Myszkowice i Gołonóg? I trasę tramwaju numer dwadzieścia jeden?

Proszę pani, pisze mi w liście mieszkanka Norwood. Przecież to do mnie rebe mówił, nie do swoich Żydów!

Czerwiec 1996. Florencja

Szulim przyjechał do Florencji z Przemyślan. Starszy brat, który uczył *Talmudu*, znalazł mu dobrą żonę i dobrą pracę. Żona była córką turyńskiego rabiną. Praca była w drukarni, która nie drukowała w szabas.

Szulimowi i Annie urodziła się Sissel. Miała złote loki i słodką buzię, podobną do Shirley Tempie. W tamtych czasach dużo małych słodkich dziewczynek przypominało Shirley Tempie.

Kiedy Sissel skończyła osiem lat, rodzinę wysłano do Oświęcimia. Transport miał numer 07. Pociąg jechał sześć dni, pierwszą selekcję przeprowadzono na rampie. Anna i Sissel poszły do gazu prosto z rampy. Drukarsza Szulima skierowano do obozu w Płaszowie, drukował tam fałszywe funty brytyjskie dla niemieckich szpiegów. Przed wojną był dobrym pływakiem, nowy rok witał skokami do rzeki z mostu Ponte Vecchio, był zahartowany i silny. Przeżył obóz i wrócił do Włoch.

Albenę poznał na balu chanukowym.

Była to pierwsza Chanuka po wojnie, bal wydano w hotelu „Baglioni”, bardzo wytwornym.

Szulim i Albena tańczyli całą noc.

Tańczyło się wtedy tańce przedwojenne, walca, tango i charlestona.

Filozof pytał, czy można pisać wiersze po Oświęcimiu.

Można.

Czy można tańczyć po Oświęcimiu, nie pytał.

Jasne, że można.

Po balu chanukowym Szulim udał się do rabina Turynu, ojca Anny. Powiedział, że chce się ożenić.

Cóż mogę ci powiedzieć? odparł rabin. Szulim uznał to za przyzwolenie moralne.

Kiedy Albena była w ciąży, Szulim zawiadomił ją, że córka będzie miała na imię Sissel. Albena przestraszyła się i urodziła syna.

Kiedy syn Albeny i Szulima ożenił się, chciał mieć córkę i miał już dla niej imię, ale i jego żona się przestraszyła. Urodziła syna. Zamieszkał w Izraelu. Nie pyta o nic, nie boi się niczego. Nawet imienia Sissel.

Syn Albeny i Szulima jest wydawcą, cierpi na depresję, odwiedza psychoanalityków i pisze wiersze o swojej siostrze.

Gdyby przeżyła, miałyby dzisiaj siwe włosy, ufarbowane na blond, kłopoty z wnukami i sporą nadwagę.. Siedziałyby z nami we florenckiej kawiarni i piła espresso.

Syn Albeny i Szulima wierzy w nieśmiertelność duszy i że Sissel ma złote loki i osiem lat.

Niebawem się spotkają.

Sissel będzie na niego czekała. Uśmiechnie się do tysego, tęgiego mężczyzny i powie: Ach, to ty jesteś Daniel.

Sierpień 1995. Warszawa

Przyjechał z Kanady.

Oto jest moje życie, oświadczył, i położył przede mną gruby rękopis.

Przyjeżdżają zewsząd, najchętniej latem.

Z plikami kartek.

Z tym samym uroczystym tekstem: oto jest...

Proszę przyjść za tydzień, powiedziałam.

Kiedy się wszystko zaczynało, przybysz z Kanady miał szesnaście lat. Dobry wiek, na przeżycie najlepszy. Wiem, pisałam o takich.

Jeden zapamiętał bęben woźnego magistratu. Woźny zabębnił i ogłosił, że nazajutrz Żydzi powinni... Ojciec chłopca powiedział: pójdziemy razem, będę wiedział jak moje dzieci umierały. Na co chłopiec, ten szesnastoletni, z którym rodzice mieli najwięcej kłopotów, zawołał: ja nie chcę wiedzieć jak umieraliście, ja wolę żyć. Wszedł z domu i ruszył przed siebie.

Inny zapamiętał kuchnię, w ostatni wieczór, przed wysiedleniem. Dorośli napalili pod płytą. Usiedli przy stole. Mieli coś postanowić. Nad ranem chłopiec zajrzał do nich. Siedzieli przy stole, w ciemnościach, bez ruchu... Chłopiec zamknął drzwi i ruszył przed siebie.

Przybysz z Kanady przychodzi spytać mnie, co można zrobić z jego życiem. Czy na przykład można je opisać w książce.

Opowiadam mu o rówieśnikach. O chłopcu, który nie chciał dowiedzieć się, o chłopcu, który...

Ja bardzo przepraszam, przerywa mi. Ja bym chciał się dowiedzieć, czy pani o mnie napisze.

Kartkuję rękopis.

O, to jest dobra scena. Na furmance.

(Jechali na stację kolejową. Starsi ludzie, młode dziewczyny, chłopiec i rabin. Rabin szepnął: teraz będzie las, teraz skaczcie... Starsi milczeli. Dziewczyny zaczęły płakać. Chłopiec skoczył i pobiegł do lasu. Słyszał oddalający się turkot kół. Furmanki z Żydami jechały na stację kolejową).

Dobra scena, powtarzam. Wyrazista. Wymowna.

To co? pyta Kanadyjczyk.

To nic. Już pisałam. Proszę zanieść tekst do archiwum, ktoś kiedyś go przeczyta.

Mój gość nie zamierza czekać, aż ktoś kiedyś.

Podnosi głos: tutaj jest wszystko. Czy pani nie widzi, że tutaj jest wszystko? Zostaję sam. Uciekam. Łapią mnie. Wiozą. Obóz. Uciekam. Ukrywam się. Tego pani jeszcze za mało? Tego nie dosyć pani?

Dosyć. Na życie dosyć. Na książkę za mało. Zapiśzę panu adres archiwum.

Jak ty z nim rozmawiałaś? mówi J. po wyjściu gościa z Kanady. Serce ci nie pęka, kiedy tak rozmawiasz?

Nie pęka, mówię z dumą, idiotyczną cokolwiek.

Usprawiedliwiam się. Nie dałoby się pisać z pękniętym sercem.

Nic nie jest bardziej całkowite niż pęknięte żydowskie serce, powiedział Mendel z Kocka, ale J. nie zna, na szczęście, żydowskich cadyków.

Historie opowiadane przez Tamtych, którzy przeżyli, mają swój początek, środek i zakończenie. Zakończeniem jest fakt zdumiewający ich samych: że żyją.

Dzieci i wnuki Tamtych też próbują opowiadać, ale są to historie bez środka i bez początku. Kończą się tam, gdzie powinny się zaczynać.

Szczerze mówiąc - to w ogóle nie są historie.

W Montrealu - o dziadku.

Że przeżył Oświęcim, wyjechał do Kanady, dorobił się, wykształcił dzieci. Jak już się uporał ze wszystkim, odwiedził Polskę. Wynajął samochód z kierowcą i kazał się wieźć do Tarnowa. Miał na sobie elegancki garnitur, a w aksamitnym woreczku jedwabny taśes. W kieszeni miał wyszywaną jarmużkę. Zaparkowali w centrum miasta. Wsiadł, nałożył jarmużkę i narzucił taśes na ramiona. Ruszył przed siebie. Najpierw krążył ulicami tam i z powrotem, potem stanął na środku rynku. Nie uśmiechał się. Nie odzywał się do nikogo. Nie wiadomo nawet czy się modlił. Czasami wznosił ramiona do góry, jakby chciał zwrócić na siebie czyjąś uwagę - nieba, ptaków, domów, w których dawno temu mieszkali jego sąsiedzi... Trwał tak godzinę, czy dwie. Wrócił do samochodu i złożył taśes. W Montrealu powiedział: już wiem, po co przeżyłem wojnę.

To wszystko?

Tak. Wszystko.

W Kopenhadze - o ojcu.

Że przeżył i wyjechał do Izraela. Przed wyjazdem pożegnał się z sosnami w Otwocku i z domem, w którym kiedyś mieszkał. Korytarzem przemknęła czarnowłosa dziewczynka. Moja córka, powiedziała gospodyni i szybko zamknęła drzwi za małą. Ojciec, który miewa przeczucia, czuł, że to jego siostrzyczka, Szewa. To moja córka, powtórzyła gospodyni. W tym roku ojciec odwiedził Otwock, pierwszy raz, po pięćdziesięciu latach. Nowi mieszkańcy dawnego domu powiedzieli mu, że raz w roku przyjeżdża tutaj obca, czarnowłosa kobieta i idzie z kwiatami na cmentarz. Nikt nie wie, skąd przyjeżdża. Ojciec nie pamięta twarzy Szewy. Twarze całej otwockiej, nieżyjącej rodziny stoją mu przed oczami, a siostry nie pamięta. Mówi, że miała dwaście lat, ale czasami mówi, że siedem.

Tak, to wszystko.

W Berlinie - o matce.

Że przeżyła- Oświęcim i zamieszkała w dolnośląskim miasteczku. Urodziła bliźniaki, syna i córkę. Syn to ten, który opowiada. Kiedy dzieci miały sześć lat, matka zniknęła razem z córką. Nie zabrała rzeczy, nie zostawiła listu. Ojciec szukał jej przez znajomych, Czerwony Krzyż i policję. Syn zobaczył ją po piętnastu latach. Było to w Izraelu. Kiedy się spotkali, matka przygotowała obiad. Tak mało jesz, mówiła zatroskana, naprawdę nie chcesz rosołu? Jak to matka. Siostra bliźniaczka prosiła szeptem, by nie zadawał pytań. Przypuszczała, że ucieczka miała związek z Oświęcimiem. I z jakąś selekcją. Nie znała szczegółów. Powtarzała: żadnych pytań.

To wszystko.

Patrzą na mnie bezradnie, dzieci i wnuki Tam-
tych.

Myślą, że wiem.

Tyle historii opisałam, więc wiem i zaraz im wy-
tłumaczę:

po co dziadek stanął na środku rynku,
kim była dziewczynka z czarnymi włosami,
dlaczego matka uciekła,
co zdarzyło się podczas selekcji...

Nie mogą uwierzyć, że nie dowiedzą się. Nie tu-
taj w każdym razie. Nie teraz. Nie ode mnie).

Lekarz ją badał, przeglądał testy i zasmuconym głosem zawiadamiał, że nie zajdzie w ciążę.

Nie zamierzała mu wierzyć. Była przystojną, zaradną kobietą po trzydziestce. Wiedziała jak się załatwia sprawy.

Czytałam, że Włosi mają nowe lekarstwo, mówiła lekarzowi.

Drogie i niepewne, zniechęcał lekarz.

Nie szkodzi, mówiła i sprowadzała lekarstwo z Włoch.

Przypominała mężowi, że mają się kochać między jedenastym i czternastym dniem miesięcznego cyklu. Mają być wypoczęci i zdrowi. Mąż nawet kataru nie powinien mieć, bo podczas kataru plemniki są mniej agresywne.

- Po dwóch tygodniach wyjaśniało się, że włoskie lekarstwo jest nieskuteczne.

Po miesiącu znowu się wyjaśniało.

Lekarz ją badał, poważniał...

Ona słyszała, że Niemcy mają nowe lekarstwo, z łożyska ciężarnych kobiet. Sprowadzała z Niemiec lekarstwo i kochali się między jedenastym a czternastym dniem.

Prawdę mówiąc nie nazywali już tego kochaniem. Nazywali pracą. Pracowali w każdym miesiącu przez cztery dni. Razem sześćdziesiąt miesięcy.

Lekarz stwierdził uszkodzenie wątroby wskutek nadużywania lekarstw.

Poszła do domu małego dziecka.

Spytali z czyjej winy nie mają dzieci i nadali numer. Kazali się dowiadywać.

Przyszła nazajutrz.

Numer? spytali.

Dwieście osiemdziesiąt pięć.

Z czyjej winy?

Z mojej.

Co ma być?

Dziewczynka.

Proszę się dowiadywać.

Przyszła nazajutrz.

Po tygodniu nie musieli zadawać pytań. Od progu mówiła: dwieście osiemdziesiąt pięć, moja wina, czekam na dziewczynkę.

Kucharka zaprowadziła ją służbowym przejściem do sypialni maluchów. Dwuletni chłopczyk objął ją kurczowo za szyję.

Chcę Romcia, powiedziała w kancelarii.

Dzieci z zezem nie przeznaczamy do adopcji.

Zaczęła krzyczeć.

Pani krzyczy? wtrącił psycholog. Pani nie jest zrównoważona. Pani nie nadaje się na matkę!

Zaczekała na psychologa przy drzwiach wyjściowych. Panie magistrze, powiedziała spokojnie. Pan współpracuje z oddziałem położniczym. W dniu dzisiejszym zachodzę w ciążę. Daję panu dziewięć miesięcy na znalezienie noworodka. Czy chce pan zaliczkę?

Kupiła włoskie poduszeczki napełniane powietrzem. Lekarz uformował z nich nieduży brzuch.

Powiększał go co dwa tygodnie. W połowie dziewiątego miesiąca zadzwonili z oddziału: matka porzuciła niemowlę.

Wróciła ze szpitala z córeczką.

Napisała do męża list:

„Już nie musimy pracować, kochać się już nie będziemy. Cielęcina jest w lodówce, wystarczy na tydzień, uprane koszule leżą w szafie. Bądź zdrow”.

Wynajęła mieszkanie, powiększyła butik.

Przyglądała się jak córka staje się coraz bardziej do niej podobna. Wysoka, zwinna, z ciemnymi oczami, które smutnieją bez powodu. Zaskoczyło ją, że się temu wcale nie dziwi.

Poznała ginekologa, młodszego o parę lat. Leczył ją. Była wciąż jeszcze przystojną kobietą. Upoważniła go do swoich kont, były na nich duże pieniądze. Podjął wszystkie. Powiedział: nigdy nie rodziłaś, twoja córka nie jest twoim dzieckiem. Zostawisz mi dom, jeśli zażadasz złotówki, powiem jej całą prawdę.

Postanowiła go zabić.

Jest kobietą zaradną, która wie, jak się załatwia sprawy.

Luty 1994. Warszawa

Szedł serial, siedziałyśmy nad szyciem i ona mówi: ja to byłam w porządku przez całe życie.

Zamurowało mnie.

W porządku? Ty? A list?

Udała, że nie rozumie.

Pamiętasz, nie udawaj.

Po dziecko nie poszłaś i nawet słowem na list...

Dobrze jej powiedziałam.

Właśnie, że dobrze.

Mieć to ma od nich.

Łóżko podwójne. Kryształowe lustro. Szafę. Dwa fotele. Ręcznie rzeźbione wszystko, a jak przysłali z getta list, żeby tylko dziecko...

To takie niebezpieczne, mówiła mi.

No wiesz co? Jak ja bym myślała czy bezpieczne, to paru osób na świecie by już nie było, tak powiedziałam jej.

I co, że staruszka?

Ja też jestem staruszka.

„W porządku”. Coś podobnego.

Niech wie.

Jak patrzy w ich lustro, niech widzi tę małą, aż do śmierci.

Polcia?

Nieżyły wygląd miałyby, gdyby nie oczy.

Nie, nie Polcia. Jakoś inaczej.

Październik 1993. Warszawa - Sobibór

Już Piaski, kobieta z Sydney przywarła twarzą do
okna autobusu, zaraz będzie Siedliszcze,

o, Siedliszcze, zaraz będzie młyn Hochmanów,
nie ma młyna? Icek Hochman ożenił się z Putermanówną,

zaraz wełny bielskie, Symchy Boka, ważni panowie
tam kupowali, lekarze, naczelnik straży, komendant
policji i właściciel elektrowni, pan Żukowski,

aha, nie ma wełen,
skład Feldmanów, materiały budowlane, nasz
skład,

tatuś mówił, że pan Żukowski, elegancki pan, pi-
je tylko cinzano, poszłam do Żukowskich prosto
z obozu, po ucieczce,

i nie ma lodziarni Gołdy Kirszenbaum,
i cukierni na rynku...

Autobus mijają Siedliszcze, jedzie przez las, przez
żółte i czerwone liście. Kobiecie z Sydney wydaje
się, że poznaje tamte drzewa.

Czyja ta cukiernia była...

Wczoraj jeszcze pamiętałam, a dzisiaj nie wiem.

Kobiecie z Sydney wydaje się, że poznaje tamte pola. Biegła przez nie po ucieczce.

Choć nie jest pewna czy nie są to pola z jej snu.

Sen jest ten sam za każdym razem.

Ucieka z obozu. Wszędzie mgła, deszcz zaczyna padać.

Biegnie przez pole, potem przez las. Potyka się o człowieka, który leży pod drzewem. Przygląda się...

To ona leży.

Wybiegając z obozu nałożyła czarny sweter, beżowe palto, a na głowę chustkę z frędzlami. Ta na ziemi też nosi czarny sweter i beżowe palto. Tylko chustki nie ma, pewnie zsunęła się przy zabijaniu.

Oczy ma otwarte, ta na ziemi, i mokrą twarz, pewnie od deszczu.

Kobieta z Sydney stoi nad sobą.

Po co uciekam, myśli, przecież mnie zabili.

Budzi się. Wie, że już nie zaśnie, wstaje z łóżka i siada przy starej, singerowskiej maszynie.

Szyje ubrania dziecięce. Nie dla swoich dzieci, już dorosłych.

Szyje rzeczy, które pasowałyby na jej siostrę Freddie i na braci: Maksia, Teosia i Paula, najmłodszego z nich. Tak był jaśniutki, że nikt nie mówił Paul o nim, tylko wszyscy - Blondynek.

W obozie uroczystość, pięćdziesiąt lat od ucieczki więźniów.

Był nawet film o tym: *Ucieczka z Sobiboru*.

Władze szykują się do przemówień.

Społeczeństwo do składania wieńców.

Wojsko do salwy honorowej.

Werbliści do bębnienia. „Wykonają tremolo”, napisano w programie uroczystości.

Pośrodku jest zarośnięte wzgórze. Na zboczu rozgarnięto ziemię. Ukazały się ludzkie kości.

Wzgórze będzie nazwane w przemówieniach pamiątkowym kopcem, a ucieczka z Sobiboru zbrojnym powstaniem.

Wszystko musi mieć swoją nazwę, więc swoją formę. Rzeczy bez formy są bezużyteczne.

Nazwane nadają się do różnych celów.

Mogą być odmieniane przez przypadki.

Mogą występować w przemówieniach, na pomnikach, a nawet w historii.

Styczeń 1992. Warszawa

Pisał wiersze o żonie, której nie zdążył poślubić.

Która nie urodziła się.

Która się urodziła, ale umarła w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym, drugim lub trzecim.

Wdowcem się urodziłem, pisał, i tęsknił za jej imieniem i oczami. Za piersiami, które miały wzbierać miłością czystą i białą jak mleko. Za życiem, na które nie zdążyła.

Poznałam ją od razu.

Siedziała naprzeciw mnie. Mówiła coś o doktoracie: że powinna, że jeszcze nie wybrała tematu...

Powiedziałam: Poeta jest dobrym tematem, o nim napisz. Ale najpierw powiedz mu, że się urodziłaś. Nie zabili cię w czterdziestym pierwszym, drugim ani trzecim. Zdażyłaś na życie - i jesteś.

Pospiesz się, dodałam. Długo czekał na wiadomość od ciebie.

Zdjęła swój paryski kapelusz z czarnym, szero-kim rondem, jakby chciała poddać się dokładnym oględzinom.

Nie były potrzebne.

Widziałam jej oczy, szyję i ręce.

Wiersz Poety był precyzyjny jak listy gończe.

W kiosku w Muzeum d'Orsay kupiła mi w prezencie kartę telefoniczną. Zadzwoiłam do Kanady, do wnuka. Rozmawialiśmy krótko, oszczędnie i odłożyłam słuchawkę.

Wyjęła mi kartę z ręki. Wykręciła numer. Oparła głowę o automat, uśmiechnęła się, zaszepotała zalotnie... Dzwoniła do Poety.

(Nie spotkali się jeszcze, a już wiedzieli. On porzuci samotność, ona - paryski dom. Zamieszkają nad Potomakiem. Do śmierci będą razem, bo dużo niebycia muszą nadrobić).

Wyszliśmy z muzeum, przecięliśmy Ogrody Tuileries, między Ogrodami i Placem Vendôme stał automat. Podałam jej kartę. Wykręciła numer. Uśmiechnęła się, miękkie, czarne włosy opadły na słuchawkę.

Pisze wiersze o żonie, którą zdążył poślubić.

Która urodziła się.

Która umarła na raka w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym.

Mówi mi, że nigdy nie był tak bardzo wdowcem.

Czuję skruchę.

To ja powiedziałam jej „napisz, że jesteś”. Wielki Scenarzysta nie lubi widocznie takich zdań. Naruszają Jego kompetencje. Być może - naruszają prawa autorskie. Uprzytomnił to nam i przywołał do porządku.

Poeta nie wierzy w Scenarzystę.

Wierzy w Sędziego Ringowego.

Sędzia stoi nad Poetą i odlicza. Ciekaw jest, czy tym razem podniesie się po *knock-oucie*.

Poeta dźwiga się i pisze wiersz o swojej żonie. Po żonie. Czyta go każdy, prócz niej.

Marzec 1991. Frankfurt nad Menem

Posyłają go do Ameryki. Młodzieńca, który ma odziedziczyć rodzinną firmę, zawsze posyła się w świat. Wraca, robi doktorat, przejmuje księgarnię ojca. Sprowadza z Włoch stylowe kandelabry, urządza patio dla czytelników. Żeni się z piękną, rudowłosą kobietą.

Siedząc w zacisznym patio przegląda podręcznik genetyki.

Czyta przypis: sprawa Żyda, Horsta Berge, oskarżonego o seks z aryjską kobietą.

Zaciekawia go sprawa Żyda, Horsta Berge.

Idzie do sądu. Znajduje akta. Stwierdza, że są w tym samym wieku: on dzisiaj, Horst wtedy, w latach trzydziestych. Odtąd myśli o Horście jak o rówieśniku.

Adwokat Horsta prosił o darowanie kary, bo jego klient był Żydem tylko w połowie. Matka - wywodził obrońca - zdradziła żydowskiego męża. Kochanek, aryjczyk czystej krwi, jest ojcem oskarżonego.

Sąd powołał biegłych genetyków, profesora i asystenta.

Asystent, doktor Josef Mengele, zmierzył Horsta i jego rodziców. Interesowały go uszy i nosy, w szczególności dziurki nosów. Notował długość, szerokość, kształt, kierunek i kąt nachylenia. Profesor przestudiował pomiary - wygląd, kształt, kąt i tak dalej, i orzekł, że Horst jest Żydem. Sąd uwie-

rzył obrońcy. Urażony profesor poskarżył się władzom. Horstowi udało się uciec z Niemiec.

Księgarz zaczyna rozumieć, że istniał świat, w którym były lepsze i gorsze uszy i dziurki nosa.

Zaczyna czytać o tamtym świecie.

Gromadzi książki. Zanedbuje interesy. Popada w długi. Rudowłosa żona smutnieje. Księgarz obiecuje poprawę i sprzedaje zbiory państwowemu muzeum. Wysyła żonę na wycieczkę do Chin i kupuje mercedesa.

W prawniczej publikacji czyta przypis: sąd skazał niemieckiego studenta, który pocałował w tańcu żydowską dziewczynę.

Zaciekawia go ów sąd. Znajduje akta, zeznania świadków i wyrok: rok więzienia. Znajduje list studenta, pisany po wojnie. Skazany prosił o zatarcie kary. Sąd oddalił prośbę. Całując żydowską dziewczynę - wyjaśniono - młodzieniec słuchał ekstrawaganckiej muzyki.

Księgarzowi przychodzi na myśl, że bez tych wykształconych ludzi, bez sędziów, profesorów, lekarzy i urzędników, nie byłoby narodowego socjalizmu.

Stanowili w czasach Hitlera trzy procent.

Księgarz chciałby poznać bliżej ich wszystkich.

Gromadzi materiały.

Długi są coraz większe.

Sprzedaje księgarnię.

Na prośbę żony wyprowadza się z domu.

Mieszka w starej hali fabrycznej.

Wieczorem rozkłada na podłodze śpiwór, rano chowa go w kartonowym pudle.

Śniadanie je w kafejce za rogiem. Spotyka tam stałych bywalców, którzy, jak on, zaczynają pracę przed świtem: śmieciarzy, kierowców wozów dostawczych i pracowników dworca. Wraca o szóstej i zabiera się do pracy, do studiów nad trzema procentami.

Z domu zabrał dwie fotografie. Jedna przedstawia księgarnię, którą sprzedał. Dokładnie widać książki, kandelabry i zaciszne patio. Na drugiej jest angielski buldog, którego zostawił żonie. Kiedy bank wystawi na licytację jego zbiory, zostanie zawodowym treserem buldogów.

Styczeń 1991. Lehrensteinsfeld

Jadę do niemieckiego barona.

Nie wiem po co.

Nie wiem po co prosiłam o adres.

Czy to prawda, pytałam prezydenta Niemiec, że z rozpaczy, a może z nudów, strzelaliście na froncie do Hitlera? Do portretu wprawdzie, ale jednak. Czytałam o tym w tygodniku „Die Zeit”. Nigdy nie rozmawiałam z Niemcami wojennego pokolenia, dodałam, czy zna pan adresy kolegów-oficerów? Prezydent nie zdziwił się, przysłał adres barona, majora Wehrmachtu.

Baron napisał, że ma jedną nogę, prawą, jeden kciuk, w lewej ręce i siedemdziesiąt lat. Zapraszał mnie do Niemiec. Do zamku, który należy do jego córki. Adres: ulica Zamkowa. Każdy w miasteczku Wskaże drogę.

Jadę zatem.

Do majora Wehrmachtu, barona.

Nie wiem po co.

Nogę ucięto mu nad kolanem. Kikut, ukryty w podwiniętej nogawce, leży na fotelu. Baron jest wysoki, więc kikut zajmuje dużo miejsca. Podskakuje, to ucieszony czymś, to ze wzburzeniem. Uspokaja się niechętnie, sprawia wrażenie osobnej istoty, która nie zamierza słuchać barona.

Pierwszego dnia - opowieść o dzieciństwie.

Lokaje, guwernantki, prababka hrabina Cosel, jest miło. Lunch jemy w pobliskim Heilbronnii.

Drugiego dnia zaczyna się wojna.

Baron wkracza do Polski. Jest mniej miło, ale to przecież front, dwudziestoletni młodzieńcy. Marek Edelman traktuje takich ze zrozumieniem. Co u Doktora? pyta baron, który czytał książkę o E. Zaprasza pana do Łodzi na wódkę. Chętnie, cieszy się baron. Lunch jemy na zamku.

Trzeciego dnia są pod Leningradem. Strzelają do wiadomego portretu: von Arnim, prawnuk poetki (patrz w encyklopedii pod „Goethe”), von Kleist z rodziny dramaturga (patrz „Kleist, von”), von Wezsacker - przyszły prezydent i baron. Po południu pojawia się nowe słowo: Dubno, miasto na polskich Kresach. W Dubnie jest pięknie. Baron jeździ konno, podczas przejażdżki widzi zabijanie Żydów. Nadzy ludzie - esesmani - wielki dół... Baron postanawia zastrzelić Hitlera, prawdziwego tym razem. Zamach nie udaje się. Wraca na front, traci nogę.

Opowiada niezbędnymi słowami.

Nie chce pytań. Chce wydostać się z Dubna i kulturalnie iść na kolację.

Ja chcę wiedzieć parę rzeczy. Zaczniemy od odległości. Ile było metrów między koniem i ludźmi na łące.

I ilu było nad dołem żołnierzy.

Jakich żołnierzy? To było SS! Przecież mówił wyraźnie: SS! SS!

Przepraszam. Nie wiedziałam, że słowo żołnierze jest zastrzeżone dla Wehrmachtu.

Przepraszam, panie baronie. Ilu NIEMCÓW było nad dołem?

Ośmiu Niemców, sześćset jardów odległości.

Rozmowa przypomina baronowi śledztwo.

Ma dosyć rozmowy.

Proszę zamknąć ten zeszyt - ręka bez kciuka sięga po moje notatki.

Proszę schować zeszyt.

Opuszcza głowę. Patrzy na swój jedyny but, wyczyszczony do połysku. Patrzę na jego czaszkę wciśniętą w chude ramiona. Na dygoczący konwulsyjnie kikut. Na różową łysinę wśród siwych włosów zlepionych potem.

Proszę nie patrzeć na mnie, mówi, nie podnosząc wzroku.

Proszę mi nie współczuć.

Ofiary nie powinny współczuć mordercom.

Tak, jestem mordercą. Wszyscy jesteśmy...

Nie współczuję mu.

Przyglądam się czaszce. W jej wnętrzu jest jego pamięć. Gdyby miała formę dyskietki i gdybym wiedziała gdzie jej szukać...

Za oknami zamku jest noc.

Dobrze, już wiem po co przyjechałam. Teraz sobie pójdę i nigdy więcej nie zobaczę nordyckiego barona.

Proszę zostać, mówi baron, nie podnosząc wzroku.

Nie rozebrałem się do naga.

Nie stanąłem w kolejce do dołu.

Nie wyrwałem karabinu esesmanowi.

Żyję-

Proszę zadawać pytania.

Rozmowa z D. (która wydaje moje książki w Niemczech).

Jest wzburzona: po Stalingradzie chciał zabić! po klęsce miał dosyć swojego fihrera!

Po Dubnie, mówię.

D., zbuntowane pokolenie '68, gardzi baronem.

Oświęcim był przed Dubnem. Oświęcimia mało było kutasowi błękitnej krwi?!

Nie wiedział jeszcze o Oświęcimiu.

D. płacze.

To samo mówili ich rodzice. Ich profesorowie. Ich księża. Mówiła „nie kłamcie”. I teraz ja...

Pocieszam D. Nie napiszę o baronie. Nie będzie tekstu, w którym Niemcy mają losy i twarze, a Żydzi są bezimiennym poniżonym tłumem.

Nazajutrz wydarza się dziwna rzecz. D. przynosi książkę. Jest po hebrajsku i w jidysz, z jednym słowem łacińskimi literami: DUBNO. Wydano ją dawno temu, daleko od Niemiec, w paruset egzemplarzach. Nie wiadomo skąd wzięła się we frankfurckiej Stadtbibliothek. Dużo w niej zdjęć. Ludzie uczą się, pracują, tańczą, modlą się, albo zwyczajnie pozują do obiektywu. Jeszcze nie wiedzą, że mają zły wygląd. Nie wiedzą, że rozbiórą się do naga i staną w długiej kolejce. Że będą zstępowali do dołu. Że świat ukaże im na pożegnanie piękny jesienny pejzaż z młodzieńcem na koniu.

Grudzień 1990. Kreuzberg

Uczniowie z Kreuzbergu piszą wypracowanie:
Opowieść Wigilijną.

Bohaterowie ci sami: Dzieciątko, Maria i Józef.

Maria jest biała, Józef kolorowy, Turek, Murzyn lub Arab. Albo oboje są kolorowi.

Maria jest bezrobotna, bo kto da pracę kobiecie w ciąży. Józef ma zajęcie, dorywcze. Albo nie ma żadnego i jest na socjalu.

Jezus przychodzi na świat w wózku wyciągniętym ze śmietnika. Albo w ruderze przeznaczony na rozbiórkę. Albo w zardzewiałym aucie, porzuconym na ulicy. Albo w parku, bezdomni oddali mu najlepszą ławkę.

Przybywają goście z darami. Marii przynoszą ciepły, prawie nie rozciągnięty sweter. Józefowi piwko. Jezusowi telewizor, stary ale na chodzie.

Jezus ogląda telewizję i dowiaduje się co na świecie. Wyrusza na Bliski Wschód. Natychmiast zaprowadza pokój. Jest to pierwszy cud Jezusa po opuszczeniu Kreuzbergu.

Kreuzberg: stuletnie kamienice, czerwona cegła, podwórka jedno za drugim. Na ostatnim podwórku hala fabryczna.

Pierwsi mieszkańcy: ludzie ze Wschodu, Opole i Dolny Śląsk.

Pracowali w głębi podwórek, w niedzielę słuchali ulicznych kapel, ćwiczyli w strażach pożarnych, płynęli statkiem po berlińskim kanale i po Szprewie.

Któregoś roku wyłowiono z tego kanału zwłoki kobiety, nazywała się Róża Luksemburg.

Któregoś roku w pobliskim budynku ulokowali się mężczyźni w brudnych mundurach.

Świat Kreuzbergu przeczekał wszystko. Dotrwał do muru. Mur otoczył ich z trzech stron - ulicami, nad Szprewą i wzdłuż kanału. Okazało się, że w Kreuzbergu kończy się Berlin. A także Zachód. A także wolność i inne ważne rzeczy.

Na Kreuzberg ścignęli nowi mieszkańcy.

Byli to bezrobotni, bezdomni, kolorowi, alkoholicy, narkomani, nosiciele HIV, porzucone matki, dzieci nieślubne, nielegalne małżeństwa, anarchiści, ubodzy artyści, niedocenieni malarze, początkujący poeci...

W ślad za nimi przybyli ludzie, którzy pragnęli opiekować się bezrobotnymi, bezdomnymi, kolorowymi, artystami, malarzami, nosicielami HIV...

A. M., opiekunka mieszkańców Kreuzbergu, wyprowadziła się od bogatych rodziców. Doradzali innym bogatym co robić z pieniędzmi, żeby bogacić się jeszcze bardziej. Było to nieznośne.

A. M. przyłączyła się do ruchu feministek i demonstrowała przeciw wyzyskowi kobiety.

Zakochała się w terroryście skazanym na dożywocie. Pisali do siebie długie listy. Zniszczyła je, kiedy zakochała się w dziewczynie, niestety, bez wzajemności.

Obliczyła, że z trzydziestu czterech lat swojego życia, czternaście poświęciła rozmyślaniom jak żyć.

Zapisała się do szkoły, nauczyła się chińskiej medycyny i homeopatii. Otoczyła się kalendarzami biologicznymi i wywarami z ziół. Wyciąg z dębu pije się na odwagę, z sosny na wytrwałość, klematis jest przeciw ucieczce w marzenia, a gorczyca przeciw beznadziei.

Leczy ziołami swoich podopiecznych na Kreuzbergu.

F. H., pedagog, krzewi na Kreuzbergu oświatę. Jest synem adiutanta Adolfa Hitlera.

Podczas wojny adiutant był w Polsce. Został, na krótko, komendantem małego miasta pod Poznaniem. Awansował na generała i dowodził armią. Walczył na linii Narwi. Front przebiegał skarpą, nad łąkami, które w lecie pełne są łopianów i zrudziałych mchów. Stoją tam dzisiaj domy letniskowe. Kopiąc ziemię pod pomidory i sałatę, ludzie znajdują piszczele, zardzewiałe części uzbrojenia, kable telefonu polowego i klamry z napisem *Goß mit uns*. Są to resztki armii generała H., ojca późniejszego pedagoga.

Zimą 1945 generał uznał dalszą walkę za bezsensowną. Wrócił do domu. Dom otoczyli esesmani. Generał strzelał do nich, dziesięcioletni syn podawał magazynki z nabojami. Nie zabili nikogo, ale esesmani cofnęli się. Po paru godzinach przed dom zajechał jeep z amerykańskimi oficerami. Już wiedzieli o strzałach i traktowali generała jak bohatera ruchu oporu. Nie zwlekając generał przystąpił do prac nad historią wojska, interesował go zwłaszcza wiek siedemnasty. Dożył późnej starości, zmarł otoczony podziwem czytelników i przyjaciół.

F. H. sympatyzował z radykalnymi studentami. Dzięki kilku niecelnym strzałom - osobiście podawał ojcu magazynki - nie musiał się z niczego tłumaczyć, przed ludźmi ani przed sobą.

Podczas demonstracji ulicznej zauważył, że jego prawa noga ucieka przed policją wolniej od lewej. Lekarze stwierdzili stwardnienie rozsiane. Przeszedł na rentę. Zajął się krzewieniem oświaty, opieką nad starą synagogą, przyjaźnią z Polakami i innymi sprawami godnymi szacunku.

Po śmierci ojca F. H. znalazł w jego biurku plik zdjęć.

Na jednym zdjęciu maszerowało wojsko, na koniu siedział oficer, uśmiechał się i salutował.

Na innym milczał mężczyzna w baranicy. Miał piękną, spokojną twarz i ręce związane sznurem. Wyglądał jak aktor, który w wojennym filmie gra nieulekłego partyzanta.

Na innym stary człowiek z gwiazdą Dawida ciągnął dwukołowy wózek. Rzeczy okrywała pasiasta płachta. Na płachcie leżała miska, dnem do góry. Na takich wózkach, na takich płachtach, zawsze leżały miski. W miejscach, z których odpadła emalia, były duże, czarne plamy.

Znowu maszerowało wojsko, na koniu salutował oficer.

Zdjęcia zrobiono w małym mieście, niedaleko Poznania.

Nie wiadomo kim był partyzant. Nawet oglądacz zwłok go nie pamięta, żywego ani po śmierci. (Tę urzędową funkcję pełnił za okupaq'i jeden z mieszkańców. Sprawdzał każdego nieboszczyka, lusterkiem i przez dotyk, i wypisywał, najładniejszym pismem w gminie, świadectwo zgonu).

Nie wiadomo kim był starzec z wózkiem. I jego nie pamięta oglądacz, który żydowskich zwłok przecież nie sprawdzał. Po prostu: idzie w świat. Może do getta. Gazowano ich potem spalinami w ciężarówkach i chowano w Jedlcu pod Gołuchowem w wielkim dole. Tak, mógł do getta iść, do Kalisza, bo szło się po kocich łbach jak na zdjęciu.

Jedno wiadomo: kim był oficer na koniu, pośrodku rynku.

Był mianowicie późniejszym generałem. Ojcem późniejszego działacza oświatowego na Kreuzbergu.

Lipiec 1990. Warszawa

Umarła matka.

Zrobiła to taktownie, nie sprawiając kłopotów. Jak wszystko w życiu.

Umarła we śnie. Tak powinno się umierać, powiedział lekarz, wypisując świadectwo zgonu.

Leżała z zamkniętymi oczami, z głową opartą na zgiętej ręce. Miała bladą, czystą twarz. Dopiero ekipa fachowców z zakładu pogrzebowego odsłoniła prawdę: wzdęty brzuch, obrzmiałe nogi, sine stopy i krwawe wybroczyny na policzku.

Umarła przed trzema dniami, był upał.

Fachowiec z zakładu pogrzebowego pomagał nałożyć bluzkę. Robił to chytrze jakoś, sposobem. Najpierw złożył na pół, potem przerzucił przez głowę i wsunął rękawy. Z ulubionym kostiumem w czarnej kratkę nie było kłopotu, ani z rajstopami mimo spuchniętych nóg, ale pantofle nie weszły. To nic, powiedział fachowiec, postawi się obok. Pantofle muszą być, nie stanie przecież nie obuty człowiek przed sądem ostatecznym.

Nakładając bluzkę uniósł na chwilę głowę zmarłej. Zobaczyli grymas w kącikach ust, jakby się jej na płacz zbierało.

Córka przystępuje do robienia porządków. Rzeczy niepotrzebne wrzuca do wiadra, pamiętki odsuwa na bok.

Pamiętkami są między innymi: zdjęcia, przeważnie wnuczki, pocztówki z wakacji pogodnie zakłamanie, laurki na Święto Matki, telefony osób, które od dawna nie żyją, stos kartek od pan Doleżakwej, poznanej w Karlovych Varach przed czterdziestu laty, książeczki opłat za czynsz i energię elektryczną, nekrolog człowieka, który ożenił się z inną, dyplomy uznania, dyplom szkoły kosmetycznej z siedzibą na Champs Elysees, stolik firmy Thonet i dwa porcelanowe lichtarze, w których paliła świece w każdy szabas.

Rzeczy niepotrzebne: kokardy od wiązanek, rozerwane łańcuszki, rozsypane korale, okładka notesu z napisem „Wystawa Ziem Odzyskanych”, radio Eltra bez baterii, pocięty czajnik bez gwizdka, malinowy sok z zeszłego roku, tara, na której prała pieluchy wnuczki, tasak, którym siekała rybę...

Z wiadrem pełnym rzeczy niepotrzebnych córka idzie do śmietnika. Mija ławkę i kilku staruszków zajętych ożywioną rozmową. Wraca do domu. Znów idzie do śmietnika. Staruszkowie już milczą. Uśmiecha się do nich, jakby przeproszała za nietakt. Wzdychają, takie jest życie, proszę pani. Mijając ławkę po raz ostatni mówi: to ja. To moje życie wynoszę teraz wiadrami.

Córka dzwoni do gminy żydowskiej: umarła matka, co należy zrobić. Należy się modlić. Prawdziwy, porządny, stary Żyd powinien zmówić kadisz. Polecają pana Abrahama. Jest brodaty, stary i bardzo prawdziwy, bo z Targowej. Tłumaczy, że kadisz mówi się w obecności dziesięciu pobożnych mężczyzn. Zaprosi ich na cmentarz, a córka odwdzięczy się, miejmy nadzieję, miłym gestem.

Na tym pogrzebie nie będzie dziesięciu mężczyzn, mówi córka.

Pan Abraham przygląda się podejrzliwie: szkoda jej paru złotych dla pobożnych i biednych?

Matkę mojej matki pochowali podczas powstania warszawskiego. Zakopali ją na podwórku. Moja matka powtarzała, że chce mieć pogrzeb równie skromny. Czy już pan rozumie dlaczego nie będzie dziesięciu pobożnych?

Rozumiem, mówi pan Abraham. Sam powiem kadisz. Pan Bóg się na nas nie pogniewa.

Córka powinna zawiadomić Marię.

Matka i Maria poznały się na wakacjach. Zachowało się zdjęcie: lata trzydzieste, Ciechocinek. Białe tenisówki, białe skarpety, jasna suknia i kokarda pod szyją. Nie wierzą w starość. Życie przed nimi.

Życie za nimi, córka powinna zawiadomić.

Były do siebie bardzo podobne: małe, energiczne i uparte. Często sprzeczały się. Urażone, milczały tygodniami. Któraś w końcu dzwoniła: upiekłam sernik. Albo: ugotowałam rybę. Spotykały się i wybuchwała sprzeczka. Tak upłynęło im sześćdziesiąt lat z krótkimi przerwami, a teraz córka zawiadamia...

Maria nie rozumie.

Jak to, umarła, przecież miała upiec piernik z czekoladową polewą.

Nie będzie piernika. Będzie pogrzeb. Na który... Córka powie teraz rzecz okropną. Na który Maria nie powinna przyjść, bo matka chciała jak podczas powstania. Jak na podwórku, nad tamtym grobem.

Maria podnosi głos. Była w obozie, w Niemczech. Gdyby nie obóz, razem kopałyby tamten grób!

Jasne, że przychodzi na pogrzeb. Przynosi kwiaty przewiązane żałobną wstążką, białą, z czarnymi krzyżami. Przykro jej, że kwiaty są skromne. Rentę dostaje po pierwszym, o czym matka dobrze wie-

działa. Doprawdy, mogła poczekać do pierwszego z tym umieraniem.

Wiązanka Marii leży na trumnie. Bez czarnych krzyży. Gdzie moja wstążka? szepcze Maria. Córka znajduje wstążkę pod drzewem i kładzie na kwiatkach. Po pogrzebie to samo. Na grobie leży wiązanka - bez wstążki. Córka wdraża śledztwo. Tak jest, kierownik cmentarza kazał grabarzom zdjąć, jak najdyskretniej. Na cmentarz przyjechali goście: religijni izraelscy Żydzi, a tu, na wstążce krzyże!

Córka prosi, żeby przysłać do niej religijnych gości. Coś im opowie: historię metryki chrztu. Maria dała ją matce podczas wojny. I ta metryka nie była Marii, tylko jej siostry. I ta siostra miała czworo dzieci. I dzięki metryce...

Kierownik cmentarza słucha z politowaniem. To ma interesować izraelskich Żydów? To będzie ważniejsze dla nich niż krzyże na wstążce?!

Siostra Marii mieszkała pod Łodzią, na osiedlu domków robotniczych.

Matka i Maria odwiedzały ją co jakiś czas, bo w sąsiedztwie mieszkała wróżka. W powszednie dni była tkaczką, w niedzielę wróżyła z kart. Matka dowiedziała się o niej od pani Amelii, znajomej z wczasów. Mąż pani Amelii, oficer AK, był skazany na śmierć. Czekał na wykonanie wyroku, a tkaczka rozkładała karty. „Chmury przersedzają się”, mówiła, „wyjrzy słońce, będzie wiadomość”. Pani Amelia wracała do domu i była wiadomość: męża ułaskawiono. Tkaczka mówiła: „zmienił adres, będzie list” i był list, z kolejnego więzienia.

Matka była pod dużym wrażeniem tych wróżb i którejś niedzieli zabrała do Łodzi córkę. W domu tkaczki było zwyczajnie. Haftowane makatki, ślubny portret i karty na szydełkowej serwecie. Córka przyglądała im się z napięciem. Nie dziwiła się, że męża pani Amelii skazano na śmierć. Wiedziała, że jest niewinny, i co z tego? Taki był świat. Zawsze niewinni w nim ginęli. Interesowała ją gospodyni, która dużymi, silnymi rękami tasowała karty, kładła na stole i mówiła: „przełożyć do siebie trzy razy”.

Stalin umarł.

Oficer AK wyszedł z więzienia i porzucił panią Amelię.

Pani Amelia zrezygnowała z wróżb.

Matka i Maria odwiedzały tkaczkę, a potem szły do siostry na obiad. Pod drzwiami Maria przystawała na chwilę. Pamiętaj, szeptała do matki, ona nie wie. Wyjmowały czekoladki Wedla i siadały do stołu.

Król karo z niebieskimi oczami rozstał się z matką.

Walec z dobrym sercem ożenił się z Marią; umarł po paru latach.

Wizyty u wróżki były coraz rzadsze.

Ona nie wie, szeptała Maria.

Mówiła o metryce. Zabrała ją siostrze podczas wojny obiecując kartki na żywność. Oddała matce. Nie spytała czy może oddać. Siostra powiedziałaaby: to takie niebezpieczne... Byłoby jej dzisiaj głupio. A tak to matka żyje. Córka żyje. Jest obiad.

Siostra umarła.

Matka umarła.

Siostrzeńcy są dorosłymi ludźmi.

Siostrzeńcy nie wiedzą. I niech już tak zostanie, mówi Maria.

Córka jest w synagodze, na balkonie, wśród kobiet. Na dole, między mężczyznami, siedzi na ławie pan Abraham. Będzie mówił kadisz, codziennie, przez cały rok. Tak trzeba kiedy umiera matka. Pani jest bardzo zajęta, uśmiechał się do córki wyrozumiale. Pani nie może codziennie się ze mną modlić, ale byłoby ładnie - czasami, w sobotę...

Pani jest tutaj pierwszy raz, stwierdzają kobiety na balkonie.

Córka przyświadcza.

A dlaczego nigdy pani tutaj nie było?

Bo jeszcze nigdy nie umierała moja matka. Właśnie umarła pierwszy raz, dlatego jestem.

A jak moja mamusia umarła, to w Ameryce był pogrzeb prezydenta Roosevelta, wtrąca jedna z kobiet. Na nie zburzonych domach w Warszawie, nawet na ruinach ludzie powiesili czarne flagi. Wszyscy myśleli, że dla prezydenta Roosevelta taka żałoba, a ona była dla mamusi. Pani uśmiecha się? Proszę się nie śmiać, flagi były dla mojej mamusi!

Pod ścianą kiwa się w skupieniu, monotownie, pan Abraham.

Za zakurzoną szybą, naprzeciw balkonowi, prześwituje skrawek mętnego błękitu i kołysze się gałąź.

Taka jesteś zajęta, mówiła współczująco matka.

Nie chodziła z matką do opery. Nie zabierała jej na wieś. W ostatnie okropne upały nie zaprowadziła do parku. Była zajęta.

Otwiera modlitewnik, który kupiła w synagodze. Reprint książki z początku zeszłego wieku: *Modły Izraelitów na dni powszednie i święta, uroczystości i posty, oraz obrządku i ceremonie religijne. Tłumaczył i objaśnił dyr. Salomon Spitzer.*

Zwyczajem jest modlić się po czytaniu z rodaków za dusze zmarłych... zostaje pouczona, przez dyr. Spitzera tym razem. W samą porę, bo mężczyźni na dole kończą czytanie *Pięcioksięgu.*

Wiekuiesty, czernie jest człowiek, że baczysz nań, a syn człowieczy, że go cenisz. Człowiek do tchnienia podobny, dni jego jako cień przemijający. Z rana zakwita i rozrasta się, wieczorem...

Owszem, ładnie przetłumaczył dyr. Spitzer, ale nie są to słowa, którymi chciałyby porozmawiać z Panem B.

W ogóle nie ma ochoty na rozmowę.

Chce sobie przypomnieć czym była tak bardzo zajęta. Co było ważniejsze od wyjazdu na wieś i od spaceru do parku.

Nijkak nie potrafi przypomnieć sobie co było ważniejsze.

Córka miała sen.

Wchodzi do mieszkania matki. Rozgląda się. Każdy mebel, każda rzecz jest na swoim miejscu.

Na parapecie stoi słój z malinami.

Na stoliku stoją porcelanowe lichtarze i radio Eltra.

Na półce leży album *Tatry Polskie* z dedykacją „... w Dniu Kobiet od Dyrekcji i Rady Zakładowej”.

W szufladzie leżą pocztówki, książeczki opłat, zdjęcia, łańcuszki bez zapięcia i rozsypane korale.

Na kuchni stoi czajnik.

Nad kuchnią wisi tasak...

(Nie chciała nowych sprzętów. Nie rozumiała ludzi, którzy kupują. Warto im? pytała ze zdziwieniem. Na tak krótko? Zachowywała się jak zniecierpliwiony podróżny, od dawna gotowy do drogi, czekający na sygnał).

Balkon, gałąź, błękit niezmiennie zakurzony.

Żydzi w białych szalach czytają *Pięcioksiąg* cichymi, pospieszonymi słowami.

W modlitwę wdziera się ostry głos. Ktoś idzie dobitnym, gniewnym krokiem.

Starzec, wysoki, brodaty, w futrzanym birecie, staje przed rabinem.

Idź stąd, mówi. Idź precz, kościstym, sękatym palcem pokazuje drzwi wyjściowe.

Modlitwa milknie, przybysz zawiadamia mężczyzn, że jest ich rabinem. Prawdziwym rabinem, który oto wraca ze świata do ojczyzny. Ten tutaj to fałszerz. To samozwaniec!

Sza, szepczą Żydzi, sza, my się teraz modlimy.

Jak Żydzi modlili się do fałszywych bogów, woła starzec, to Mojżesz rozbił kamienne tablice! Jak wy modlicie się z fałszywym rabinem, mnie wolno krzyczeć!

Do gościa podchodzi z rozsądnymi słowami jeden z mężczyzn, aktor teatru żydowskiego.

Idź precz! Karzący palec wymierzony jest w aktora. Komediantem jesteś! Jutro przykleisz brodę i sam zagrasz rabina, ale tutaj nie teatr jest! Tu jest dom boży!

Z kojącym, niewinnym uśmiechem zbliża się pan Abraham.

Idź precz! Głos jest teraz pełen pogardy. Nieczysty jesteś! Z sikszą żyłeś, na Targowej! Rzekaniem nie mogłeś być, bo jesteś nieczysty!

Na dole krzyczą Żydzi.

Na balkonie córka zwraca się, jak w każdą sobotę, w stronę błękitu.

Sama widzisz, nie ma warunków do modlitwy. Ale opowiem ci co u nas.

Złożył nam wizytę prawdziwy rabin. Wyszedł z książek Singera i wkroczył do synagogi. Ile wiedział! Czy uwierzyłabyś, że pan Abraham z sikszą? Na Targowej? No, no...

Słuchaj, mówi po chwili. Czy Pan Bóg wysłuchuje modlitw nieczystych starców?

Na dole zapadła cisza. Żydzi zdjęli szale i opuścili synagogę.

Prawdziwy rabin pograżył się w samotnej modlitwie.

Córka zauważa, że opowiadanie matce o tym co u nas, staje się jej codziennym zwyczajem.

Przez całą wojnę ubierała się na czarno. Zimą, latem, rano, w południe, zawsze czarna spódnica i czarna bluzka zszyta z dwóch bluzek przedwojennych. Spódnica też przedwojenna, przenicowana na niespłowiałą lewą stronę.

Przychodziła na krótko.

Siadała na krześle.

Ścisłej - na brzeżku krzesła. Na znak, że zaraz sobie pójdzie. Że nie chciałyby sprawiać kłopotu. Że postara się jak najmniej miejsca zająć w tym dużym, obcym mieszkaniu.

Pani taka dobra dla nas, mówiła do gospodyni, która udzieliła gościny jej córce.

Doprawdy, jakże mam... mówiła do tych poważnych, szlachetnych pań, którym należało okazać wdzięczność.

Na ile sposobów potrafiła ją okazać! Spojrzeniem. Uśmiechem. Pochyleniem głowy. Złożeniem rąk. No i słowami, naturalnie: „Pani taka dobra dla nas...” „Doprawdy, jakże mam...”

Starała się płakać jak najciszej.

Brat? szeptaly panie. Siostra? Ojciec? Mąż?

Wzdychały.

Przynosiły herbatę.

Głaskały córkę po włosach.

Córka zdejmowała ze swoich tlenionych włosów ich współczujące ręce, wysuwała z matki ręką swoją

rękę, sześćioletnią i spokojnym, chłodnym głosem mówiła: No, trudno. Ale ja żyję.

Co znaczyło: postanowiłam przeżyć. To duży wysiłek taka decyzja i bardzo proszę nie przeszkadzać mi swoimi łzami i swoim smutkiem.

Matka nie przynosiła ze sobą śmierci.

Mówiła: tatuś, wujek, ciocia, dziadek, ale to nie była śmierć. To było nieżycie. W istnienie śmierci córka uwierzyła po pięćdziesięciu latach. Kiedy zobaczyła matkę z zamkniętymi oczami, z głową opartą na zgiętej ręce.

Córka płacze.

Ze zdziwieniem stwierdza, że jest to dobrze jej znany *płacz*, żałosny i bezsilny. Płacz matki, siedzącej na brzeżku krzesła, ubranej na czarno.

Płacze, idąc ulicą. Płacze, prosząc pana Abrahama o modlitwę.

Jest pani dobrą córką, chwali ją pan Abraham.

Który nie wie, że w te okropne upały nie zawiozła matki na wieś.

Który nie wie, że wysuwała rękę z jej rąk mówiąc „No, trudno. Ale ja żyję”.

Córka miała sen.

Wchodzi do mieszkania matki... Wszystko jest na swoim miejscu.

Zaczyna pakować.

Chowa radio Eltra: kupi do niego nową baterię.

Do czajnika kupi gwizdek.

Do okładek notesu włoży kartki.

Tatry Polskie pošle wnukowi.

Korale nawlecze.

Przegotuje sok z malin.

Tasakiem będzie siekała rybę (matka miała rację, mielona w maszynce ma inny smak).

Budzi się z rozpaczą. Wie, że mieszkanie, w którym wszystko jest na miejscu, będzie jej się śniło do końca życia.

PRZYPISY

Maj 2000. Zakopane

Bohaterem tekstu jest Mariusz Bonaszewski.
Fragment *Hamleta* w przekładzie Stanisława Barań-
czaka.

Maj 2000. Herzliya koło Tel Awiwu

Mowa o wydarzeniach, które miały miejsce w kwiet-
niu 1983 roku i areszcie domowym doktora Marka
Edelmana.

Zacytowałam wiersz Zbigniewa Herberta „Pan Co-
gito szuka rady”:

- *boli mnie serce rabi*

-*mam kłopoty*

Marzec 2000. Frankfurt nad Menem

Bohaterką tekstu jest Teofila Reich-Ranicka. Jej
akwarele i mój szkic o niej ukazały się w języku nie-
mieckim, w książce *Es war der letzte Augenblick*
w wydawnictwie DVA. Mąż Teofili, Marcel Reich-
Ranicki jest krytykiem literackim.

Listopad 1999. Toruń

Bohaterką tekstu i autorką wiersza, którego frag-
menty zacytowałam, jest Krystyna Kuta.

Kwiecień 1999. Warszawa

#

Wielkanocne śniadanie jedliśmy (wraz z Tamara
i Leszkiem Kołakowskimi) u Ireny Szymańskiej
i Ryszarda Matuszewskiego, jej męża.

Czerwiec 1996. Florencja

Słowa *Ach, to ty jesteś Daniel* pochodzą z poematu Daniela Vogelmanna „Pięć apostrof do małej Sissel”. Przetłumaczył z włoskiego Henryk Grynberg.

Styczeń 1992. Warszawa

W tekście przytoczyłam słowa - nie ujmując ich w cudzysłów - z dwóch wierszy Henryka Grynberga: „Orfeusz II” z tomu *Pomnik nad Potomakiem*, Londyn 1989 i „Wiersz po Halinie” z tomu *Rysuję w pamięci*, Poznań 1995.

Marzec 1991. Frankfurt nad Menem

Bohaterem jest Christoph Cobet, historyk i antykwariusz.

Styczeń 1991. Lehrensteinsfeld

Książka z tekstem pt. „Fantom bólu” - o Axelu von dem Bussche i mieszkańcach Dubna - ukazała się kilka miesięcy po śmierci bohatera reportażu. Prezydent Niemiec w uprzejmym liście podziękował mi za spotkanie i - jak się wyraził - za przyjaźń z jego najbliższym przyjacielem.

SPIS TREŚCI

Lipiec 2000. Nad Narwią	5
Maj 2000. Zakopane.	7
Maj 2000. Herzliya koło Tel Awiwu.	16
Marzec 2000. Frankfurt nad Menem.	22
Listopad 1999. Toruń.	25
Październik 1999.	28
Kwiecień 1999. Warszawa.	29
Marzec 1999. Norwood.	32
Czerwiec 1996. Florencja.	55
Sierpień 1995. Warszawa.	57
Maj 1995.	62
Luty 1994. Warszawa.	65
Październik 1993. Warszawa - Sobibór	66
Styczeń 1992. Warszawa.	69
Marzec 1991. Frankfurt nad Menem.	73
Styczeń 1991. Lehrensteinsfeld.	76
Grudzień 1990. Kreuzberg.	81
Lipiec 1990. Warszawa.	88
<i>Przypisy.</i>	L05